Dziś w numerze: ● Problem rasowy w USA ● Historia Polski na uniwersytetach ZSRR ● Kim jest ta kobieta? ● Po Olsztyńskim Festiwalu Estrad ● Kino w ślepym zaułku ● Tragifarsa ● Felietony ● Recenzje ● Polonica

odgłosy

Nr 41 (403)
16. X. 1966 r.
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK IX

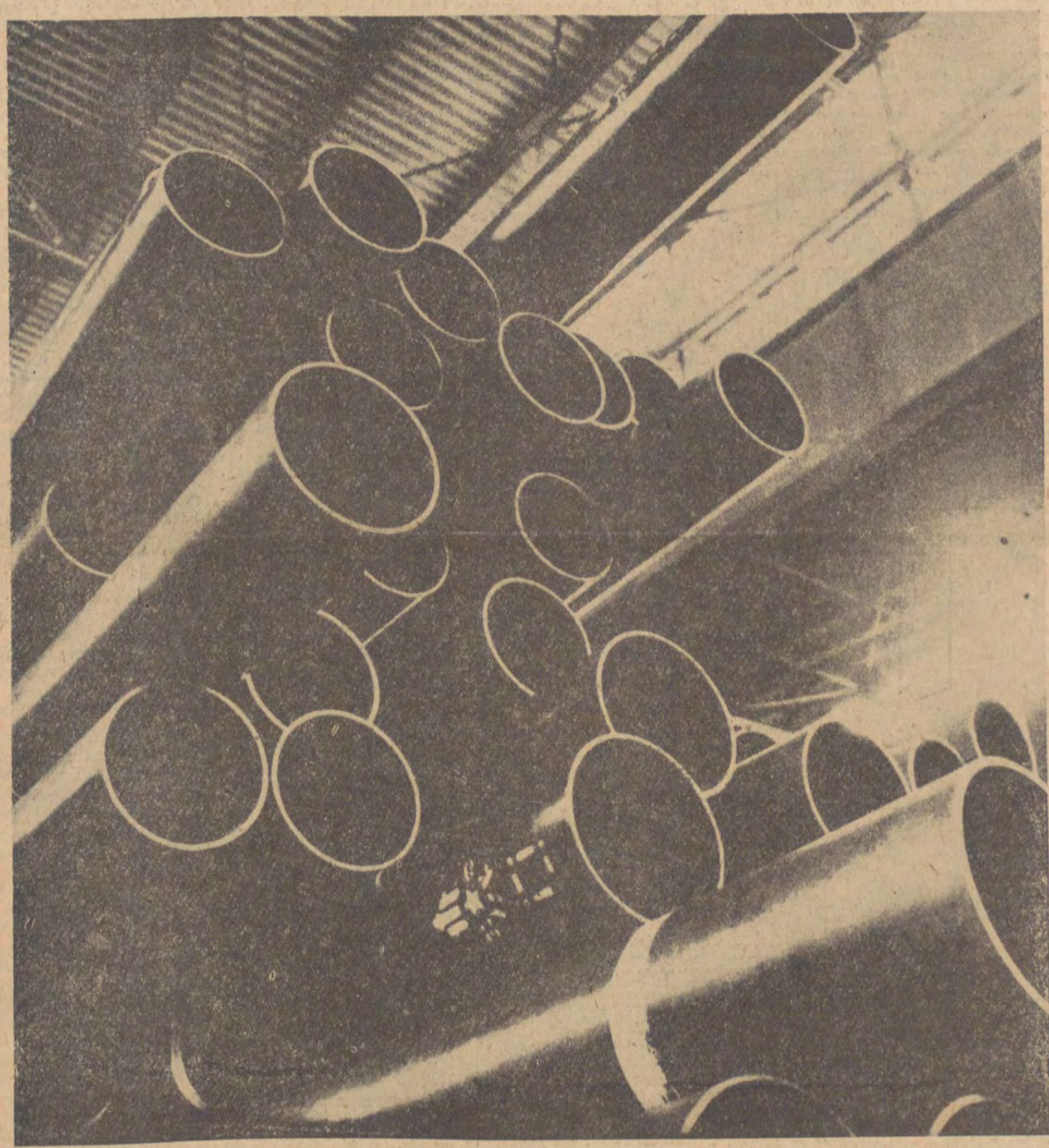

WŁODZIMIERZ STOKOWSKI

Teatr Wielki W ŁODZI

190 tysięcy metrów sześciennych kubatury, około 7 tys. punktów oświetleniowych (około 30 razy więcej niż na Piotrkowskiej), 2500 kW zainstalowanej mocy elektrycznej, to jest tyle, ile potrzeba do oświetlenia 15—20-tysięcznego miasta. Waga głównej kurtyny ze stali — 17 ton...

Obiekt, drugi co do wielkości i wyposażenia technicznego w Polsce i mieszczący się w pierwszej dziesiątce teatrów Europy.

Zaplecze Teatru Wielkiego w Łodzi. Można by napisać o nim grubą księgę. Gmach, od zewnątrz przecież okazały, zaskakuje ogromem przestrzennych rozwiązań wnętrz, rozmachem urządzeń technicznych, siecią łączności, stalowych konstrukcji, powierzchnią sceny i ilością elementów towarzyszących, widownią na niespełna 1300 miejsc, mnóstwem pracowni i warsztatów, rozgałęzionym zapleczem artystycznym, gospodarczym, administracyjnym itp. itp....

1.

Prostokątna wieża, wyrastająca z tylnej części głównego budynku teatru — to jego serce. Tutaj mieści się scena — mniej więcej na wysokości półtora piętra nad poziomem ulicy, tutaj też zlokalizowano około trzech czwartych mechanicznych urządzeń Teatru Wielkiego. Ciężkie windy, zapadnie, transportery, wózki sceniczne, elementy powierzchni scenicznej, stalowe kurtyny i mosty oświetleniowe nad sceną — wszystko o napędzie elektrycznym. Te setki ton przesuwają się w górę i w dół, w prawo i w le-

Dalszy ciąg na str. 3

FELIKS BĄBOL

„XENON"

Do pomieszczeń biurowych wejście z długiego korytarza — jak w tanim hoteliku na prowincji. W jednym z nich można zastać prezesa i resztę zarządu, w pozostałych pracują inżynierowie, technicy, główny księgowy. Lokal przypomina raczej barak zastępczy dla lokatorów dotkniętych klęską remontu kapitalnego, niż siedzibę władz jednej z największych w kraju spółdzielni chemików.

„Xenon" niedawno obchodził jubileusz 20-lecia, czyli, jak mówią wtajemniczeni — rocznicę powstania z niczego. Ówcześni studenci i założyciele z łódzkiej politechniki — przez te 20 lat, rozwinęli się zawodowo, kierują techniką i robotą 450 ludzi, niektórzy zostali cenionymi fachowcami.

Część z nich zasłynęła przed laty sukcesami przy uruchamianiu i rozwijaniu produkcji **kwasu glutaminowego**, który stał się jedynym wytwarzanym w Polsce środkiem przeciwko zmęczeniu i który na biedną spółdzielnię żądną rozmachu i znaczenia ściągnął wkrótce... oburzenie wszystkich okolicznych lekarzy. Gdy bowiem prasa rozbębniła szeroko działanie kwasu glutaminowego, lekarze nie mogli się już opędzić przed pacjentami domagającymi się recept właśnie na acidum glutaminicum.

Setki i tysiące ton tego środka na zmęczenie wyprodukowali od tego czasu, a przecież oni sami męczą się najwięcej. Bo po opanowaniu technologii kwasu glutaminowego przyszła ambicja **na polistyren, którego produkcję również uruchomiono i to w okresie, gdy można było tym zadziwić nawet sam Oświęcim.** Potem ten polistyren — z takim trudem, w mękach urodzony i produkowany — dał im sam w kość. Zatrzymali dobrze rozwijający się eksport, bo gigant oświęcimski miał już lepsze wyniki, produkował więcej, a i świat kapitalistyczny domagał się od Ciechu, pośredniczącego w transakcjach artykułami chemicznymi w Polsce, produktu nowocześniejszego. Gigant oświęcimski mógł go produkować, mały „Xenon" — nie był w stanie.

* * *

Z tej polistyrenowej rywalizacji z wielkim kombinatem podkrakowskim, byli jednak dumni. To ona również rozwinęła w spółdzielni przedziwne ambicje eksportowe. Dość że obecnie co piąta fiolka z chemikaliami wyprodukowana w porozrzucanych po całej Łodzi oddziałach „Xenonu" wędruje za granicę. **Oznacza to milion zł dewizowych rocznie dla naszej gospodarki.** Eksportuje się odczynniki i chemikalia o tzw. najwyższym stopniu uszlachetnienia, produkty najczystsze, czyli swego rodzaju arystokrację wśród chemikaliów.

Ale nie chodzi tylko o ambicje eksportowania w ogóle. Ludzie, z którymi rozmawialiśmy na Kilińskiego 122, stanęli już przed nowym zadaniem: — Chcemy jak najszybciej wejść z naszym eksportem na rynki kapitalistyczne. — Sprzedają co prawda trochę do Szwajcarii i Indii, ale to już ich nie zadowala.

I zaraz dodają: trzeba nam do tego niewiele, trzeba nam po prostu zrozumienia. To co do nas należy — już prawie wykonaliśmy.

Wykonali, zdaje się, dużo. By móc konkurować z potęgami tego świata w dziedzinie chemii trzeba było np. przewrócić do góry nogami całą kalkulację kosztów wytwarzania niektórych artykułów, gdy ją przewrócono, jednak okazało się, że potrzebna jest nowa zupełnie, tańsza technologia. Powstał więc samorzutnie zespół

Dalszy ciąg na str. 4

ŚWIATA

„Pomimo naszych oficjalnych zapewnień o gotowości udania się gdziekolwiek, rozmawiania z kimkolwiek itp. nie można powiedzieć, by rząd dążył do rokowań choćby z ułamkiem tego zapału, wyobraźni i uporu, z jakim prowadzi wojnę". Te słowa Arthura Schlesingera z jego artykułu, zamieszczonego przed kilku dniami w „New York Times" warto przytoczyć właśnie teraz, kiedy prez. Johnson — i tak bardzo gadatliwy — ostatnio wypowiada się bez przesady co kilka dni. Cel oczywiście, jest jasny: stwarzania pozorów dobrej woli, o czym pisałem w ubiegłym tygodniu. Równocześnie jednak dzienniki amerykańskie przynoszą coraz to nowe szczegóły przygotowań USA do dalszej eskalacji. I tak np. znany komentator wojskowy — Hanson Baldwin jest zdania, że do końca tego roku Waszyngton zwiększy liczebność swych wojsk w Wietnamie do ponad 400 tys. żołnierzy. W ślad za tym przewiduje się podobno przyznanie przez Kongres dalszych 10 mld dolarów na wojnę, wtedy, kiedy nieoficjalnie szacuje się już roczne wydatki na 18 — 25 mld dolarów.

Prasa przyniosła ostatnio wiadomość, że Robert Kennedy — brat zamordowanego prezydenta — kategorycznie zaprzeczył miał jakoby jego kandydatura wchodziła w rachubę w kampanii prezydenckiej w 1968 roku. Jednocześnie dał on do zrozumienia, że nie chce być kandydatem na wiceprezydenta przy Johnsonie.

Informacja skromniutka, ale przecież wymagająca komentarza.

Otóż od pewnego czasu — po licznych podróżach Kennedy'ego i krytycznych jego uwagach pod adresem obecnej polityki amerykańskiej — komentatorzy coraz głośniej zaczęli mówić o tej ewentualnej kandydaturze. Zresztą — nie gołosłownie. Z omawianej już kiedyś na tym miejscu ankiety, przeprowadzonej przez Instytut Gallupa, wynikało przecież jednoznacznie, że w tej roli chętniej niż Johnsona widziałoby go o 2% więcej demokratów i o 14% niezależnych. Zaczęły się więc różne spekulacje. Nie brakowało wśród nich i takich, które sugerowały iż Johnson, mimo całej swojej niechęci do senatora Kennedy'ego, kierując się li tylko taktycznym sojuszem, może mu zaproponować w najbliższej kampanii urząd wiceprezydenta. Obserwatorzy przypominali, że podobnie postąpił John Kennedy, kiedy obawiając się o głosy niechętnego mu Południa, zaproponował Johnsona. Teraz sytuacja miałaby być podobna, z tym, że obecnemu prezydentowi chodziłoby o pozyskanie głosów liberałów, które skupia wokół siebie Robert Kennedy.

Wspomniana wiadomość ma położyć kres spekulacjom. Czy jednak naprawdę położy?

Z Robertem Kennedy'm wielu demokratów wiąże swe nadzieje. Widzą w nim kontynuatora polityki poprzedniego prezydenta, młodego, energicznego polityka, tak różnego od Johnsona, że „trudno o ludzi bardziej różnych". Człowieka o dużej osobowości, który „stał się jedną z czołowych postaci współczesnego liberalizmu amerykańskiego".

To wszystko, a także samo nazwisko, wysuwa Roberta Kennedy'ego na czoło wśród innych domniemywanych kandydatów (Humphrey'a, McNamary). Jeśli więc nawet — zgodnie ze swym oświadczeniem — nie zamierzałby ubiegać się o fotel prezydencki w najbliższych wyborach, sprawa może być aktualna w 1972 r., wtedy będzie miał zaledwie 47 lat.

Czytelnicy mogą się dziwić, dlaczego już teraz, w komentarzu poświęconym bieżącym wydarzeniom, zajmujemy się takimi rozważaniami? No cóż — wydaje się nam po prostu bardzo charakterystyczne, że taka właśnie dyskusja toczy się na łamach prasy amerykańskiej. To także wystawia cenzurkę Johnsonowi i jego polityce...

W. SŁAWSKI

KRONIKA TYGODNIA

■ Agencje prasowe w relacjach z przyjęcia jakie odbyło się w pałacu prezydenckim w Djakarcie podają m. in., iż wystąpił chór wojskowy, skompletowany przez Sukarno, który odśpiewał słynną pieśń „Indonezja jest antykolonialistyczna", lecz opuścił refren tej pieśni „W Indonezji jest obfitość jadła".

■ Jak wynika z ankiety opublikowanej w jednym z dzienników amerykańskich — 60 proc. Amerykanów odrzuca główne tezy raportu komisji Warrena, która badała okoliczności śmierci Kennedy'ego i doszła do wniosku, że morderstwo to było dziełem jednego człowieka. Zdaniem większości Amerykanów morderstwo zostało zorganizowane przez ludzi należących do spisku.

■ Brytyjski Instytut Studiów Strategicznych podaje, iż od 1945 roku główne kraje uprzemysłowione sprzedały lub dostarczyły bezpłatnie, tytułem pomocy, krajom rozwijającym się ponad 4,5 tysiąca odrzutowców wojskowych, około 5 tys. czołgów, 224 okręty wojenne i nie dającą się określić ilość pocisków zdalnie kierowanych. Podkreśla się, że popyt krajów słabo rozwiniętych na broń będzie wzrastał z powodu „prestiżu jakim cieszy się broń w młodych krajach". Wartość zakupionej broni przez kraje rozwijające się wyniesie w nadchodzącym dziesięcioleciu około 10 miliardów dolarów. Do obszarów, które najsilniej zabiegają o uzyskanie broni zalicza się Bliski Wschód i Afrykę Północną.

■ W czasie obrad konferencji Koreańskiej Partii Pracy, przewódniczący KC, Kim Ir Sen, wygłosił referat, którego poważna część poświęcona była analizie aktualnej sytuacji w międzynarodowym ruchu robotniczym. Kim Ir Sen formułując zasady, na jakich powinny się opierać stosunki między partiami, powiedział „Żadna partia nie może uważać, że inne partie idą w kierunku przeciwnym od marksizmu-leninizmu, ponieważ zajmują inne stanowiska. Nie powinna istnieć praktyka jednostronnego przylepiania takiej czy innej etykiety, brat nim partiom, które zajmują niezależne stanowisko. Otóż niektórzy przylepiają naszej partii i innym partiom marksistowsko-leninowskim etykiety jak: „neutralizm", „obiektywizm", „oportunizm" itp. Utrzymują oni, że kroczymy „drogą niezdrowego kompromisu" i że „siedzimy na dwóch stołkach". To wszystko nonsens. Mamy własny stołek. Dlaczego mielibyśmy zrezygnować z niego i siedzieć niewygodnie na dwóch innych stołkach?

Będziemy siedzieć wyprostowani na naszym marksistowsko-leninowskim stołku. Ci, którzy oskarżają nas, że siedzimy na dwóch stołkach, siedzą niewątpliwie na skrzywionym stołku, na prawo lub na lewo".

■ Prezydent Sukarno w przemówieniu wygłoszonym do członków sił zbrojnych Indonezji zebranych w Djakarcie z okazji „Dnia Sił Zbrojnych" kategorycznie potępił próbę zamachu stanu z października 1965 r., oświadczając, iż stanowiła ona zdradę rewolucji indonezyjskiej.

■ Powołując się na źródła zasługujące na zaufanie agencja AP stwierdza, iż zdaniem Norwegii następcą sekretarza generalnego U Thanta, o ile ten nie da się nakłonić do pozostania, będzie według wszelkiego prawdopodobieństwa przedstawiciel Afryki lub dyplomata azjatycki.

■ Urzędnik jednego z magistratów w belgijskiej prowincji Flandria głosił, iż jego szef z trudnością liczy do 10. Sąd skazał niedyskretnego urzędnika na 3 miesiące aresztu pod zarzutem „rozgłaszania tajemnicy służbowej".

■ Sytuacja ekonomiczna krajów słabo rozwiniętych uległa w ostatnim pięcioleciu dalszemu pogorszeniu. W większości tych krajów produkt narodowy brutto wzrastał w ciągu ostatnich lat o 4 proc. rocznie zamiast przewidywanego przez planistów ONZ 5 proc. uważanego za niezbędne minimum. Dochód narodowy w przeliczeniu na 1 mieszkańca wzrósł w ciągu ubiegłych 5 lat do zaledwie 142 dolarów, lub tylko o 2 dolary rocznie. W krajach rozwiniętych dochód narodowy zwiększył się w tym samym okresie od poziomu średnio 1.400 dolarów do 1.700 czyli o 60 dolarów rocznie.

■ W radzieckim miesięczniku „Sowietskaja Pieczat" ukazała się relacja z rozmowy ze znakomitym pisarzem radzieckim Ilją Erenburgiem, podczas, której pisarz udzielił szeregu rad dziennikarzom. Erenburg wskazał m. in. na potrzebę korzystania z pewnych doświadczeń prasy zachodniej. „Nie powinniśmy kopiować prasy zachodniej — powiedział pisarz — byłoby jednak pożyteczne zapożyczać pewne elementy ze skarbnicy ich doświadczenia". Erenburg krytycznie ocenił relacje niektórych korespondentów zagranicznych, zarzucając im brak precyzji. Nie rozumiem — powiedz ał on — dlaczego dla opisywania np. ciężarów kapitalizmu korespondent musi opisywać salony fryzjerskie dla psów w Anglii i restauracje dla zwierząt we Francji. Dobry stosunek do psów nie może wykluczać dobrych stosunków między ludźmi. Bolączki kapitalizmu są o wiele poważniejsze. I o nich powinniśmy pisać.

■ Dziennik „Washington Post" informuje o rekordowych zbiorach zbóż w ZSRR. Powołując się na cyfry podane w Związku Radzieckim pismo stwierdza, iż ZSRR dysponuje obecnie nadwyżką nad zapotrzebowaniem wewnętrznym i eksportowym rzędu około 20.000.000 ton. Oznacza to, że ZSRR będzie mógł zaoszczędzić okjedną czwartą miliarda dolarów, które w przeciwnym razie musiałby wydać na zakup zboża za granicą.

■ Instytut Badania Opinii Publicznej Gallupa, notuje dalszy spadek popularności rządzącej w Anglii Labour Party. W ostatnim sondażu za konserwatystami wypowiedziało się 43,5 proc. ankietowanych, za labourzystami 41 proc.

■ Agencja TASS donosi z Pekinu, iż „hunwejbinowie" w dalszym ciągu wypełniają ulice, bulwary, i place stolicy Chin. Jedne grupy czerwonogwardzistów z prowincji opuszczają Pekin, a na ich miejsce codziennie wpływają nowe oddziały. Setki ciężarówek i autobusów przewożą ich z jednego rejonu miasta w drugi. Na murach domów, wystawach, sklepowych pojawiły się znów liczne plakaty, wokół których zbierają się tłumy „rewolucyjnych uczniów".

■ Bieżący rok przyniósł gwałtowny rozwój stosunków handlowych między NRF a Chinami Ludowymi. Wartość zachodnioniemieckiego eksportu do Chin wynosi 264 miliony marek, importu 204 miliony. Obecnie trwają przygotowania do podjęcia rozmów wstępnych nad realizacją kolejnego zamówienia wartości 750 milionów marek. Tym razem chodzi o kombinat walcowniczy.

■ Niemiecka Socjalistyczna Partia Jedności, SED, licząca 1,7 mln członków jest największą partią w całych Niemczech. Jest ona przeszło dwa razy tak duża jak niemiecka SPD, która liczy 600 tys. członków i przeszło sześciokrotnie większa niż rządząca partia NRF, CDU z jej 250.000 członków. Na 100 obywateli NRD, którzy osiągnęli już 18 rok życia, czternaście należy do SED.

■ W Wenezueli, jedna z dobrze zorganizowanych szajek złodziejskich rozebrała 5 kilometrów toru kolejowego i wyniosła go wraz z podkładami i śrubami mocującymi. Złodziejaszki obiecali porwanie następnym razem pociągu.

■ Ekonomiści Jugosławii przewidują, że tegoroczny bilans płatniczy Jugosławii zamknie się dodatnim saldem. Będzie to niewątpliwie poważne osiągnięcie gospodarcze tego kraju. Na przestrzeni kilku minionych lat bilans płatniczy wykazał saldo ujemne. Na pomyślny stan bieżącego bilansu wpłynął wzrost eksportu o 14—15 proc. w stosunku do roku ubiegłego, znaczne wpływy z turystyki, które zamkną się sumą 150 mln dolarów oraz przekazy pieniężne robotników jugosłowiańskich pracujących za granicą, w wysokości 30 mln dolarów.

Ostatnie słowo

KONGRES KULTURY POLSKIEJ

CO DALEJ?

A więc Kongres Kultury Polskiej mamy już za sobą. Była to impreza imponująca. Można bez obawy popadnięcia w przesadę powiedzieć, że przez te trzy dni trwania Kongresu Warszawa żyła nim, a wiele środowisk w kraju z uwagą śledziło jego obrady, o których dość szczegółowo informowały prasa, radio i telewizja. Wygłoszono wiele pięknych przemówień, szczególne wrażenie wywołały wystąpienia Jarosława Iwaszkiewicza, Zenona Klemensiewicza, Stefana Żółkiewskiego i Kazimierza Wyki. Nie miejsce tu, aby streszczać czy omawiać treść tych wystąpień. Zresztą niektóre z nich podała prasa bądź w całości, bądź we fragmentach. Myślę, że materiał kongresowy zostanie opublikowany w specjalnej księdze, aby mógł być dostępny dla wszystkich, którzy interesują się kulturą polską i którzy kształtować będą jej przyszłe oblicze.

Myślę, że taka księga spełniłaby rolę poważnego „vademecum" pod warunkiem, że włączono by do niej również dyskusje, odbyte na poszczególnych komisjach, których było dwanaście. Tak się bowiem złożyło, że na posiedzeniach plenarnych mówiono o sprawach podstawowych, zasadniczych, dotyczących kultury jako całości w jej historycznym i współczesnym ujęciu, natomiast komisje rozpatrywały zagadnienia i sprawy szczegółowe. Dopiero materiał ten, razem wzięty, stanowi pełny, wartościowy plon Kongresu Kultury. Wedle mego przekonania jest to materiał nadający się do stałego studiowania przez wszystkie instytucje i ośrodki, powołane do rozwijania i upowszechniania kultury w naszym kraju. Z pewnością byłaby to księga ogromna, licząca wiele setek stron, ale też warto się o taką księgę Tysiąclecia pokusić. Może przekształciłaby się ona w coś w rodzaju biblii współczesnego pracownika kulturalnego.

Uczestniczyłem w komisji dwunastej, która zastanawiała się nad tym, w jakim stopniu kulturę polską zna świat, co zrobiono, co się robi i co trzeba zrobić, aby jej wartości stały się znane poza granicami kraju. W komisji tej wzięli udział nie tylko uczeni i pisarze, nie tylko goście obcojęzyczni, lecz także przedstawiciele naszych placówek zagranicznych, którzy w wystąpieniach dyskusyjnych opowiedzieli o aktualnej sytuacji na swoim terenie. Ogólnie da się powiedzieć, że kultura polska budzi od szeregu lat nieustanne zainteresowanie za granicą. Siedzący obok mnie cudzoziemiec, któremu musiałem przekładać fragmenty co ciekawszych wypowiedzi, odezwał się w pewnej chwili: „Sztuka polska ma siłę przyciągającą. Na przykład grafika. Wie pan, patrzę na ten napis „Kongres Kultury Polskiej". Jak to jest świetnie wykonane. Te litery po prostu żyją. A wie pan, dlaczego? Bo grafik znalazł najwłaściwszy dla nich kształt i najwłaściwszą formę. A to właśnie tutaj potraficie". Tak, nie musimy już propagować naszego dorobku twórczego za granicą za nasze własne pieniądze. Twórczość polskich pisarzy, plastyków, muzyków i filmowców budzi zainteresowanie spontaniczne, jest ceniona i popularyzowana przez samych cudzoziemców, którzy znajdują w niej wartości wzbogacające i atrakcyjne. Przyjemnie było słuchać jak Maria Kuncewiczowa, mieszkająca stale w Chicago, opowiadała o zainteresowaniu się Amerykanów polską muzyką współczesną. „Warszawska Jesień" znana jest już na całym świecie i wielu cudzoziemców (w tym również Amerykanie) ubiega się o to, aby móc w niej uczestniczyć. Szkoda tylko (mówiła Kuncewiczowa), że tak mało jest w Polsce nagrań tej nowej muzyki i że wskutek tego nie można jej należycie rozpropagować za granicą. Wiadomo, że Polacy nie są gigantami organizacji (to nie Kuncewiczowa, to ja) i dlatego sprawa umiejętnej propagandy kultury napotyka jeszcze na różne trudności i zahamowania. Bo samo zainteresowanie zagranicy nie wystarczy. Trzeba temu zainteresowaniu pomóc w upowszechnianiu wartości najlepszych, które w sposób najwłaściwszy reprezentują to, co się w Polsce tworzy.

W czasie Kongresu mieliśmy okazję zaopatrzyć się w dwie różne, ale bardzo ważne książki. Jedna to „Kultura Polski Ludowej", praca zbiorowa pięknie ilustrowana, druga to dwa pierwsze tomy „Dzieł zebranych" Cypriana Norwida. Norwida często na Kongresie cytowano. Można by rzec, że w pewnej mierze Kongres stał pod znakiem Norwida, który przeżywa obecnie renesans. Nie jest przypadkiem, że powstał specjalny komitet sprowadzenia prochów Norwida do kraju, o czym również poinformowano uczestników Kongresu. „Kultura Polski Ludowej" nie jest publikacją bez wad, posiada ona zwłaszcza luki w dziale informującym o polskiej literaturze współczesnej, ale nie da się zaprzeczyć, iż w sumie daje ona ciekawy i bogaty przegląd dorobku kulturalnego po ostatniej wojnie. Dobrze, że książką tą obdarowano gości cudzoziemskich i przedstawicieli Polonii zagranicznej.

Kongres się skończył, ale ustalenia jego dopiero zaczną owocować. Gdyż tylko takie może być znaczenie Kongresu: praca nad nowym modelem kultury polskiej, która ma szanse stać się jedną z ważnych kultur w Europie.

JAN KOPROWSKI

Teatr Wielki W ŁODZI

Fot. E. Kudaj

Dalszy ciąg ze str. 1

wo, łączą się z sobą i rozdzielają, mijają o milimetry. Zwarte masy żelaza, drewna i stali. Cóż za kolosalne moce ożywiają te martwe przedmioty!

W czasie jednego z rozruchów — miałem okazję wziąć w nim udział — wieża wydaje się jakimś żywym organizmem, który posłuszny woli człowieka wykonuje określone czynności z precyzją robota. Ta uległość kolosów, tych setek ton materii, posłusznych impulsom drobnych guziczków, które gdzieś, nie wiadomo gdzie, naciska maleńki homo sapiens, budzi zarówno szacunek dla ludzkiego geniuszu, jak i śmiałe refleksje. Współczesny teatr - fabryka? Teatr - kombinat, uskrzydlony humanistyczną treścią? Elektroniczna Muza? Można odrobinę pofolgować fantazji...

2.

...Spiralne metalowe schodki prowadzą w nieskończoność. Ogarnia mnie zabawne uczucie, że schodzę po korkociągu. Niezbadane są drogi skojarzeń.

Dyrektor Teatru Wielkiego, mgr Stanisław Piotrowski i główny inżynier Jerzy Gumiński, znają tu każdą śrubkę, więc idą bez zahamowań. To jeden, to drugi nieustannie upominają: Uwaga — tu kabel, uwaga — niżej głowę, uwaga — przewód od butli z tlenem... Gdzieś pod nami snuje się leciutki, niebieskawy opar spalin acetylenu. Lecz oto jeszcze kilka skrętów i wychodzimy na scenę.

W górze, bardzo wysoko, nieomal pod samym stropem wieży...

— Ile to może być metrów, panie inżynierze?

— Od sceny około trzydziestu trzech.

— Wysokość wieży — wtrąca dyrektor Piotrowski — licząc od stropu aż do piwnicy, więc jeszcze dwa piętra pod nami — wynosi 48 i pół metra.

— Mniej więcej wysokość łódzkich wieżowców?

— Mniej więcej.

...więc pod samym stropem wieży, ludzie wielkości mrówek spawają stalowe wiązania. Niżej, również z prawa i z lewa, fioletowe płomienie pryskają paciorkami czerwonych iskier, które spadają wolno w dół i gasną tuż nad nami. Pięknie to wygląda. Na scenie zwoje kabli i przewodów, kawałki stalowych szyn, deski, grube belki, blacha, butle z tlenem, nieustanny stukot młotów. Ostre wiązki świateł reflektorów skrupulatnie przeczesują ściany i strop wieży, fragmenty sceny; szukają usterek i błędów, kontrolują pola, poddane zabiegom palników.

Niby prace wykończeniowe, ale przecież tu się jeszcze gotuje jak w garnku, i to na wielkim ogniu.

Ciekawe efekty świetlne i dźwiękowe, gorączkowa krzątanina ludzi, ogromne przestrzenie roztopione w mroku, sinawa mgiełka, tworzą jakąś gigantyczną inscenizację lotu człowieka w Kosmos. Jest tu coś z atmosfery powieści Lema...

3.

— Panie dyrektorze, ta wieża jest głównym elementem teatru?

— Tak. Tutaj, pomijając scenę, są zlokalizowane nieomal wszystkie urządzenia mechaniczne teatru. Kilka metrów pod stropem, zainstalowane motory elektryczne wielkiej mocy, wprawiają w ruch urządzenia, które dźwigają wszystko, co od sceny w górę dźwignięte być powinno. Więc kurtyny, horyzonty, niektóre dekoracje, mosty oświetleniowe. A znów motory zlokalizowane w piwnicy wieży, na głębokości dwóch pięter pod sceną, napędzają mechanizmy, pracujące od sceny w dół i na poziomie sceny. Więc wszystkie zapadnie, scenę obrotową, wózki sceniczne oraz transporter poziomy. Pomijam tu oczywiście pewne szczegóły. Działają tu ogromne moce elektryczne.

Zwracam się do inżyniera Gumińskiego:

— Chciałbym poznać trochę cyfr. Na przykład jaka jest wewnętrzna objętość wieży?

— Ponad 28 tysięcy metrów sześciennych. W skali porównawczej, coś około dwóch wieżowców jedenastopiętrowych.

— Powierzchnia sceny głównej?

— Około 600 metrów kwadratowych.

— A ogólna powierzchnia sceniczna?

— Około 1670 metrów kwadratowych.

— Można samochodem jeździć.

— Dosłownie. W tylnej części sceny mamy dźwig o nośności 12 ton, który wynosi na scenę, wprost z ulicy, samochód ciężarowy załadowany elementami dekoracji. Samochód swobodnie jeździ po scenie i tam jest rozładowywany. I na odwrót.

* * *

Powierzchnia sceniczna jest rzeczywiście ogromna. Składa się na nią scena główna oraz dwie tak zwane boczne kieszenie sceniczne i jedna tylna. Kieszenie są niejako szerokim marginesem powierzchni sceny głównej i, w zależności od potrzeb, mogą być od niej oddzielone trzema kurtynami ze stali. Kilka cyfr. Głębokość sceny głównej — 22 metry. Można ją pogłębić o 18 metrów, otwierając tylną kieszeń sceniczną. Można ją jeszcze przedłużyć w stronę widowni o dalsze 4 i pół metra, podnosząc na zapadni powierzchnię kanału orkiestrowego. W ten sposób, sumując te wielkości, można grać na scenie o niebagatelnej głębokości 44 i pół metra. Tu mogą występować bardzo duże zespoły estradowe, nie wymagające udziału orkiestry.

Całą powierzchnię sceniczną tworzy siedem zapadni o wadze 12 ton każda i o skoku 6 metrów. Ciekawy szczegół: scenę obrotową — średnica 16 metrów — można złożyć i przy pomocy specjalnego dźwigu zawiesić na ścianie tylnej kieszeni scenicznej. Jest to jedyne tego rodzaju urządzenie w Polsce. I jeszcze jedno, coś, co wskazuje na poziom techniczny i precyzję urządzeń mechanicznych Teatru Wielkiego: szybkości wszystkich urządzeń scenicznych regulują centralnie sterowane układy regulacyjne. Znów parę cyfr: maksymalne wymiary okna scenicznego — szerokość 14 metrów, wysokość 10. Okno można diafragmować w zależności od potrzeb poszczególnych scen spektaklu.

A kurtyny? Proszę sobie wyobrazić cztery kurtyny podnoszone i dwie przesuwane, wszystkie z grubej stali, ognioodporne i izolujące akustycznie. Największa waży 17 ton i ma około 180 metrów kwadratowych powierzchni!...

* * *

— Panie inżynierze, ta wielka ażurowa konstrukcja z metalu, biegnąca przez całą szerokość sceny, co to jest?

— Ruchomy most oświetleniowy, przystosowany do obsługi w trakcie spektaklu. Oprócz niego — ten jest największy — mamy nad sceną jeszcze pięć takich mostów.

— Ile waży ten największy?

— Ponad siedem ton.

— Bagatela!

Wszystkie mechaniczne urządzenia sceny są sterowane centralnie z dwóch kabin napędów. Również światła zarówno sceniczne, jak i na widowni, steruje się centralnie z kabiny operatora oświetleniowego. A propos:

— Jeżeli w trakcie przedstawienia nastąpi awaria na linii?... — pytam inżyniera Gumińskiego.

— To w teatrze światło nie zgaśnie i nie staną urządzenia. Teatr zasilają dwa kable wysokiego napięcia, przy tym mamy własną stację transformatorową. A obok tego mamy jeszcze rezerwy.

Bez dobrej akustyki — nie ma teatru. Teatr Wielki w Łodzi ma akustykę znakomitą. Śpiewa się tutaj świetnie, lekko i bez wysiłku — mówią wszyscy śpiewacy, i taka ocena ma wysoką rangę. Potwierdziły to również drobiazgowe pomiary techniczne. Miejmy nadzieję, że przy wypełnionej sali akustyka będzie równie dobra. Na dobrą akustykę złożyło się wiele czynników, lecz przede wszystkim odpowiedni kształt stropu na widowni, dobór właściwego drzewa do boazerii oraz odpowiedni rodzaj innych materiałów konstrukcyjnych.

Projektantem akustycznej strony teatru jest dr Witold Straszewicz.

5.

Teatr Wielki dysponuje najnowocześniejszą, zagraniczną aparaturą elektroakustyczną, tzn. odtwarzającą dźwięki. Warto odnotować, iż takie urządzenia mają w Polsce tylko dwa teatry: Teatr Wielki w Warszawie i Teatr Wielki w Łodzi. Ten zespół bardzo skomplikowanej aparatury spełnia w teatrze rozliczne funkcje: odtwarza wszelkiego rodzaju efekty dźwiękowe, nagrywa spektakle teatralne na taśmy magnetofonowe, transmituje akcje rozgrywające się na scenie do pomieszczeń zascenicznych. I ponadto jeszcze coś bardzo ważnego: pozwala „wejść" na dwie anteny radiowe, umieszczone nad sceną i nad widownią, i nawiązać jednokierunkową łączność radiową. Dla przykładu: inspicjent, czy operatorzy kabin mogą wydać radiową dyspozycję określonemu pracownikowi obsługi technicznej, nawet gdyby się znajdował w najbardziej odległym miejscu teatru. Aparat odbiorczy swobodnie mieści się w kieszeni, a maleńka słuchawka w uchu umożliwia odbiór poleceń dyspozytora. Ze względu na duże odległości i technikę, na której bazuje współczesny teatr, rozwiązanie problemu sprawnej i szybkiej łączności ma pierwszorzędne znaczenie.

Nawiązując do spraw łączności wspomnę tu tylko, iż teatr dysponuje również telewizją przemysłową.

6.

Wokół wieży, mówiąc w przenośni, a więc sceny i jej satelitów, usytuowano głębsze zaplecze teatru. Więc pracownie: krawiecką — męską i damską, stolarską — największą i najnowocześniejszą w Łodzi z własną suszarnią drewna włącznie, malarską, modelarską, szewską, ślusarską, kapeluszy i sztucznych kwiatów oraz warsztaty mechaniczne i elektryczne. Nie sposób wyliczyć wszystkie: ogółem jest ich 22. Ogromne magazyny, urządzenia wentylacyjno-klimatyzacyjne, własna pralnia, bufet, przychodnia lekarska. Część z nich zlokalizowano w budynku techniczno-usługowym, związanym z gmachem głównym oszkloną przewiązką, wspartą na filarach. A, jeszcze własna straż pożarna, wyposażona w nowoczesny sprzęt przeciwpożarowy.

Wspomnę na marginesie — bo to wszystkich interesuje — że wspomniana przewiązka spina poziom sceny, a ściślej mówiąc, lewą kieszeń sceniczną z magazynem dekoracji. W przewiązce ma jeździć specjalny transporter na szynach z magazynu na scenę i z powrotem.

Zainstalowane urządzenia mechaniczne są polską produkcją prototypową. Ciekawostka: pewne wielkie urządzenia mechaniczne wykonała dla Teatru Wielkiego w Łodzi Stocznia Marynarki Wojennej w Gdyni.

7.

Sekretariat przepełniony po brzegi, interesanci wylewają się na korytarz i tam krążą, każdy wokół swojej sprawy. Między jednym interesantem a drugim wpada do gabinetu dyrektora, tranzytem przez sekretariat, pracownik teatru. Sprawy personalne, gospodarcze, finansowe. Za pół godziny konferencja, później narada robocza z personelem artystycznym, później z technicznym, po niej — jakaś komisja, a znów później — korespondencja. W przerwach telefon, jeden, za chwilę drugi, lub dwa na raz.

Pytam sekretarkę dyrektora, panią Sawin:

— Czy dyrektor zdąży przyjąć wszystkich do czwartej?

— Zdąży. Dyrektor pracuje do dziesiątej wieczorem...

* * *

— Panie dyrektorze, cenię pański czas, więc tylko parę pytań.

— Proszę bardzo.

— Czy zaplecze artystyczne...

— Rozumiem. Nie ma z tym problemów. Pewne błędy w rozwiązaniu zaplecza, wynikłe z pierwotnego projektu budowy, naprawiamy we własnym zakresie. Na przykład salę prób orkiestry musieliśmy adaptować z dwóch przyległych pomieszczeń. Sala prób chóru jest niedostatecznie wyposażona.

— Czy zechciałby pan wymienić, jakie pomieszczenia należą do zaplecza artystycznego?

— Wymienię tylko niektóre, wszystkich nie sposób. A zatem dwie sale prób baletu, sala prób zbiorowych solistów, osobne pokoje dla kierowników chóru, baletu i orkiestry oraz inspektorów zespołów. Pięć pokoi pracy indywidualnej artystów, a w każdym, odpowiednio wytłumionym, pianino i pulpit. Dwa obszerne pomieszczenia dyrygenckie do korepetycji. Mogą się tam również odbywać zbiorowe próby artystów. Cóż jeszcze, pomieszczenie na bibliotekę, które jest jednocześnie salą rekreacji, relaksu po próbach lub występach. Garderoby solistów, 4- i 9-osobowe dla chóru i baletu, sześć garderób zbiorowych po 12—36 osób.

Ponieważ już jestem przy głosie chciałbym tu wymienić również piękny owoc naszych zdobyczy socjalnych — nowoczesną przychodnię lekarską z dobrze wyposażonym gabinetem zabiegowym. Przyjmują tu lekarze różnych specjalności: laryngolog, internista, ortopeda i dentysta. Mamy tam również masażystę.

Wreszcie pomieszczenia administracji, kierownictwa artystycznego i kierownictwa technicznego. Dodam nawiasem: zbyt szczupłe, jak na tak ogromny teatr.

— Panie dyrektorze, wpadło mi w ucho, czułe, jak wszystkie mikrofony inżyniera Gumińskiego razem wzięte, że nabrzmiewają tu jakieś problemy stołówki, czy bufetu. Prawda?

— Prawda. Stołówki jeszcze nie ma, ale robimy o to starania i będziemy ją mieli. W pobliżu Opery. Przy tak nieunormowanym trybie zajęć i życia osobistego pracowników, stołówka jest ważną sprawą.

Po próbach schodzi ze sceny około 400 osób. Ten tłum ludzi spływa szeroką falą z góry na dół — do bufetu. A tam jest zaledwie 80 miejsc. Tak, bufet jest za mały, a przerwa trwa 15 minut. Połowa osób nie zdąży wypić nawet wody. Staraliśmy się znaleźć jakieś wyjście, instalując „filię" bufetu w bibliotece. Wynikły pewne kontrowersje z kierownictwem bufetu, ale wyjaśniliśmy już nieporozumienie i sprawa jest na dobrej drodze.

— Co w tym gorącym okresie przed otwarciem Teatru Wielkiego przysparza panu najwięcej trosk?

— Przede wszystkim prace wykończeniowe. Bardzo absorbują i dyrekcję, i głównego inżyniera. Następnie rozruch urządzeń mechanicznych. Odbywa się zbyt późno, gdyż dopiero teraz, za pięć dwunasta, ujawniają się przeróżne niespodzianki. Jest to zjawisko normalne, bowiem urządzenia do przesuwania, podnoszenia i w ogóle poruszania tych wielkich mas muszą się dotrzeć. A na to potrzeba czasu. Wielu trosk i kłopotów przysparza kompletowanie personelu. Odczuwamy brak fachowców. W planie zatrudnienia pominięto, iż nowo przyjmowanych pracowników należy przyuczyć do zawodu. A na to znów trzeba czasu. Pracujemy na gruncie wysokiej techniki, to jest przecież wielki, współczesny teart, i każde stanowisko techniczne trzeba obsadzić wysoko kwalifikowanym pracownikiem. Na scenie operujemy tonami i o wypadek nie trudno. Wysokie napięcie, łączność, telewizja. Niemniej skompletowaliśmy już 90 proc. personelu.

— Ile osób, łącznie, zatrudnia Teatr Wielki?

— Personel artystyczny, to znaczy chór, balet, soliści i orkiestra, liczy 320 osób, pracowników technicznych, administracyjnych i gospodarczych razem — 420 osób, w tym technicznych 240. Ogółem 750 osób. Są to liczby docelowe, to znaczy, pełny stan etatów. Osiągniemy go gdzieś na przełomie roku 1966/67. Teraz mamy pracowników nieco mniej, ze względu na płynność kadr.

8.

Teatr Wielki w Łodzi przeżywa teraz swoje najgorętsze dni. Intensywne prace wykończeniowe, jednocześnie rozruch potężnych urządzeń mechanicznych, jednocześnie, dwa razy dziennie, rano i wieczorem, próby do spektakli premierowych, jednocześnie obsługa prób i jednocześnie szkolenie personelu technicznego. Wszystko naraz. Nieustanny młyn na wielkich obrotach. Ale to jeszcze nie wszystko. Moment oficjalnego otwarcia teatru muszą poprzedzić przynajmniej jednomiesięczne przedstawienia zamknięte z wypełnioną widownią. Będzie to ostateczny egzamin funkcjonowania wszystkich komórek tego kolosa. Czy to wszystko można zrobić w przeciągu trzech miesięcy? Mam poważne wątpliwości:

— Panie dyrektorze, kiedy nastąpi otwarcie teatru? Czy przewiduje pan jakiś „poślizg"?

— Na przełomie roku 1966—67. Bez „poślizgu". Mam nadzieję, że wszystko będzie zrobione na czas. Zależy na tym całej załodze teatru, wszak Łódź czeka na swój Teatr Wielki. Jego otwarcie będzie też pięknym i mocnym akcentem uczczenia tysiącletnich tradycji kulturalnych naszego narodu i państwa.

W tym miejscu pragnę podkreślić wielką ambicję i ofiarność całego kolektywu, który nie licząc ani godzin pracy, ani godzin snu i wypoczynku pracuje w tych gorących dniach teatru z pełnym poświęceniem.

— Plany?

— Ogromne. Niestety brak i czasu i miejsca, żeby je dokładniej omówić. Podam tylko parę bieżących informacji. Teatr Wielki w Łodzi liczy się już w skali europejskiej. Nawiązaliśmy kontakty artystyczne z dwoma teatrami tego samego wymiaru: z Operą w Lipsku i z Operą w Skopje. Sądzę, że współpraca będzie interesująca. Rozmawialiśmy z PAGARTEM. Będzie korzystał z naszej sceny i mamy nadzieję, że już od przyszłego roku nie będą Łodzi omijać zagraniczne zespoły teatralne. Ze sceny Teatru Wielkiego w Łodzi będzie też sporadycznie korzystać telewizja. Może przy innej okazji powrócimy do tego tematu.

WŁODZIMIERZ STOKOWSKI

„XENON"

Dalszy ciąg ze str. 1

inżynierów i techników (w nim m. in. Józefowicz, Czerwiński, Walczak, Twardowski i Szczerbiński), postanawiając rozgryźć sprawę. Półtora roku ślęczeli nad nią, przygotowując start 450 ludzi do produkcji eksportowej do kk (tak się w skrócie oznacza ten kierunek ekspansji). **Wszystkie te zabiegi technologiczno-ekonomiczne umożliwiają spółdzielni zbliżenie się do cen światowych większości chemikaliów produkowanych przez „Xenon".** Ułatwią drogę w świat takim preparatom jak nitrometan (do mieszanek paliwowych, syntez chemicznych itp.), kwas tioglikolowy (surowiec wyjściowy do katalizatorów, ale i składnik płynów do... ondulacji), kwas trójchlorooctowy (do analiz i badań laboratoryjnych, ale i do... zatruwania nerwów w zębach).

— Żeby przejść na nową technologię wytwarzania takiego choćby kwasu tioglikolowego — mówią teraz — musieliśmy zmienić całą aparaturę z tradycyjnej na szklaną, a kolumna do ekstrakcji tego kwasu to gmach dwupiętrowy. Były dni i tygodnie, że załamywaliśmy się pod ciężarem trudności. Szkła laboratoryjnego bowiem do tej kolumny nikt w kraju nie produkuje, zbieraliśmy więc jej elementy po całej Polsce. W Grodzisku znaleźliśmy chłodnice, w Tarchominie — część innych elementów, na Brukowej w Łodzi — jeszcze jakieś szkło.

Ta nowa technologia jednak zagrała, jej twórcy dostali nawet patent, a pierwszy transport 30 ton odszedł do Jugosławii pod koniec 1965 roku. **Coopexim wysłał też oferty na rynki zachodnie, czekając na zamówienia.** Spółdzielnia czeka na wieści ze świata, ale czasu nie traci. Ta sama grupa inżynierów wzięła się z kolei za nitrometan — i jego produkcję trzeba zmienić i tu niezbędna jest zasadnicza obniżka kosztów produkcji, aby sprzedaż towaru na rynkach światowych była opłacalna. Pierwsza jaskółka zwiastująca, że spółdzielnia jest na dobrej drodze w tych swoich poszukiwaniach, już się pojawiła: kupcy angielscy.

* * *

Inna sprawa z solą A. Sól A stosuje się w wielu syntezach chemicznych, a również i w wykończalniach przemysłu włókienniczego. Ale przemysł włókienniczy w naszym kraju jakoś jeszcze się nie poznał na soli A, więc ofensywa produkcyjna spółdzielni pójdzie raczej za granicę, tym bardziej, że zapytania w tej sprawie ze strony kupców z różnych krajów nadchodzą. **Ocenia się je łącznie na 400 ton czyli na 120 tys. dolarów, a to już wartość, od której można zacząć.** Pracy przy ustalaniu technologii tego artykułu jest jeszcze na cały rok, z tego co usłyszeliśmy jednak w spółdzielni wynika, że inżynierowie i technicy nie osłabną w zapale gdyż towarzyszy im ambicja.

* * *

— Ambicje tylko? — przerwaliśmy rozmówcom na chwilę. — A premie eksportowe?

Na te premie, zdaje się, nie liczą. Nie tylko dlatego, że ich się obecnie nie przyznaje spółdzielczości (ostatnie nagrody z Coopeximu i Ciechu „kapnęły" „Xenonowi" w 1964 roku — 10 tys. zł za cały rok i na cały 450-osobowy zespół), ale i dlatego, że sam fakt produkowania na eksport stanowi tu o czymś wielkim. Tu i w całym sektorze spółdzielczym. Stanowi o randze na przykład i prestiżu. Wiele słów słyszeliśmy więc wśród spółdzielczych chemików o tych dwóch rzeczach, przekonywano nas, że to nawet trwalsze wartości na spółdzielczym rynku niż 10 czy 20 tys. zł w gotówce.

Poza tym: 450 pracowników inaczej patrzy na swe kierownictwo techniczne i administracyjne, jeśli potrafi ono, dzięki eksportowi, stale zwiększać produkcję, rozwijać moce oddziałów. W tej umiejętności kierownictwa załoga śledzi źródło własnej stabilizacji i własnego rozwoju. Bo i praca w spółdzielni, która ma już 20 lat i takie osiągnięcia w kraju i świecie stały się czymś ważnym i godnym poszanowania. Dzięki eksportowi inżynierowie mają okazję zawodowego wyżycia się, niemały to zresztą bodziec dla tych 40 ludzi z wyższym i średnim wykształceniem technicznym — możność eksperymentowania, wprowadzania nowych artykułów do produkcji, zmian przestarzałych technologii na nowoczesne

Przekonano nas do ambicji, starań o rangę i prestiż, więc nie dziwiliśmy się już zapamiętaniu z jakim rozwijają spółdzielnię i walczą o wejście na zagraniczne rynki. Pozwala im ono również nie dostrzegać wielkiej biedy, która ich otacza.

Na przykład bieda lokalowa — nowy obiekt to kwestia najwcześniej 1970 r., bieda z magazynami, hamująca spółdzielnię w jej eksportowym rozpędzie. Dokumentacja na magazyny w Rąbieniu pod Łodzią jest już zatwierdzona, ale w ŁZSP i w tym roku zabrakło tzw. limitów na tę inwestycję, choć to kwestia tylko 600 tys. zł.

Ale może gdzieś ktoś tego nie rozumie, że jeśli w ciągu 5 lat (1960—65) **produkcja chemików z „Xenonu" wzrosła z 82 mln zł do 119 mln,** to przecież istniejące magazyny pękają już w szwach, nie wystarczą dla przybywającej stale produkcji i że trzeba jednoczesnego przyrostu powierzchni magazynowej. Ktoś gdzieś nie rozumie, że sam eksport w ciągu roku daje miliony złotych dewizowych, a na magazyn, który posłuży na dziesiątki lat, trzeba 600 tysięcy.

W tej biedzie magazynowej wyżywa się na razie tylko... straż ogniowa z Rąbienia, grożąca spółdzielni straszliwymi konsekwencjami i żądająca rozebrania stodoły, w której z konieczności trzeba przechowywać całe tony odczynników i chemikaliów.

* * *

Na magazynach nie kończy się spółdzielcza bieda. **Towarzyszy jej też prawdziwa katastrofa z opakowaniami.** Zwłaszcza szklanymi. Do chemikaliów i odczynników potrzebne są tysiące małych słoików, butelek i fiolek, a jak nie przyjdą na czas? **Na kwartał np. przychodzi tylko 15 proc. całości zapotrzebowania.** Nadchodzi tylko 15 proc., chociaż procedura poprzedzająca uzyskanie nawet tego potrafi zjeżyć włosy na głowie. Prawdziwy dramat, gdy przyjdzie nagle wykonać pilne zamówienie eksportowe. Co wtedy? Interweniuje się w Coopeximie, Ciechu, ale nie odnosi to najczęściej skutku. „Składajcie interwencje — mówią w tych centralach „Xenonowi" — nie nam, ale wicepremierowi..." Bo tak podobno źle jest z opakowaniami.

Czyżby naprawdę naszej gospodarce nie opłaciło się zainwestować nieco złotówek w rozbudowę produkcji opakowań szklanych, aby groszowe fiolki i słoiki nie zatrzymywały dopływu dewiz do kraju? Kiedy też wreszcie uwolnimy producenta od straszliwej procedury zamówień, umożliwiając mu nabycie tych fiolek wprost w piotrkowskiej hucie?

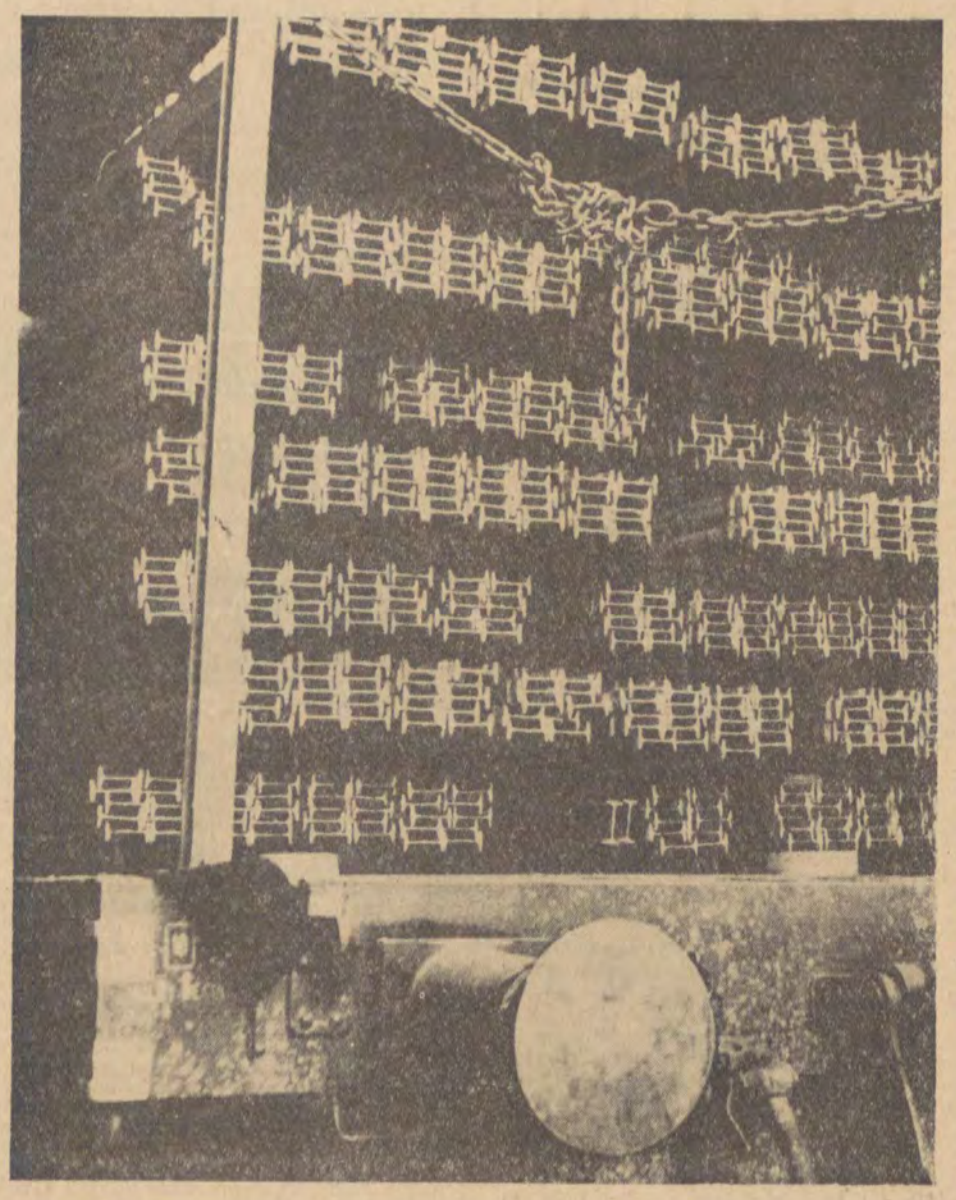

* * *

Produkcja odczynników i chemikaliów to drobna produkcja, ale wymagająca dużej specjalizacji, pracochłonności i dobrej organizacji pracy w zakładzie, dlatego wielkie potęgi przemysłu chemicznego chętnie widzą przy niej nie siebie, a właśnie małe zakłady spółdzielcze. Takie jak „Xenon". Ale zlecając ją spółdzielniom, za mało zadbano o sprawy towarzyszące, **np. o akwizycję na rynkach zagranicznych.**

Choć odczynniki mają dużą przyszłość eksportową, traktuje się je nadal bardzo marginesowo, a wyjeżdżającym w świat wysłannikom central handlu zagranicznego mówi się wprost, żeby „porozmawiali o odczynnikach przy okazji" załatwiania innych, większych tonażowo transakcji. Czy nie należałoby zatem więcej uwagi poświęcić i tej „małej" czy „średniej" chemii i od czasu do czasu jej przedstawicielowi umożliwić samodzielną i fachową penetrację obcych rynków? Na takiej akwizycji jeszcze nikt w świecie nie stracił.

A poza tym — nawet najzdolniejsi inżynierowie chemicy powinni mieć raz po raz okazję porównania własnej wiedzy ze stanem wiedzy na szerokim świecie. Jak dotąd — nic z tego nie wychodzi. Co roku spółdzielnia składa w swym Związku plan wyjazdów fachowców za granicę, bo jest taki okólnik, ale te plany składa się, aby... odfajkować załatwienie okólnika, bo i tak nikt nie wyjeżdża. Okólnik zresztą jest równie doskonały w praktyce co pewne zarządzenie dotyczące tzw. limitów zatrudnienia. Według nowych przepisów udział inżynierów i techników w ogólnym zatrudnieniu miał być już sprawą tylko zainteresowanej spółdzielni. W praktyce jednak trzeba to nadal ustalać w porozumieniu ze Związkiem w Łodzi, a ten z Centralnym Związkiem w Warszawie. I w tej więc, okazuje się, sprawie gdzieś czegoś nie dopowiedziano do końca.

— W rezultacie — słyszymy na Kilińskiego 122 — nie wolno nam przyjąć zdolnego technika-chemika, choć zdarza się, że z braku odpowiedniej pracy idzie on z konieczności do handlu...

* * *

Sytuacja wielkich zakładów chemicznych w Polsce jest o wiele lepsza, życie ich bardziej uregulowane i spokojniejsze, a praca na rzecz dewiz i eksportu mniej uciążliwa, niż małych producentów tej gałęzi. Dlatego może warto poświęcić tym ostatnim więcej troski, niż to ma miejsce dotychczas, warto wyprostować drogę takim spółdzielniom jak choćby „Xenon".

FELIKS BĄBOL

WŁADYSŁAW BORTNOWSKI

HISTORIA POLSKI na uniwersytetach ZSRR

4 października br. w Instytucie Słowianoznawstwa w Moskwie rozpoczęła się czterodniowa sesja poświęcona rewolucyjnym związkom narodów ZSRR i Polski w XIX i XX wiekach. Stronę polską, jak zwykle, reprezentowali etatowi pracownicy PAN, no i naukowcy z wyższych uczelni warszawskich.

Na marginesie sesji warto odnotować wciąż rosnące zainteresowanie przeszłością Polski nie tylko w Instytucie Słowianoznawstwa, ale przede wszystkim wśród radzieckich studentów historii.

Jeszcze przed wojną profesor uniwersytetu moskiewskiego W. Piczeta na swym seminarium skupił „entuzjastów" historii Polski. Pasja, solidność badań i pracowitość mistrza udzieliły się jego uczniom. Dziś w Instytucie Słowianoznawstwa sekcją polską kierują uczniowie Piczety — profesorowie Miller, Koroljuk, Kostjuszko, a na Uniwersytecie Moskiewskim — Bielawska i Woronkow.

Największym uniwersyteckim ośrodkiem badawczym i dydaktycznym w zakresie historii Polski w ZSRR jest Katedra Historii Zachodnich i Południowych Słowian Uniwersytetu Moskiewskiego. Jej sekcja polska posiada 3 samodzielnych pracowników nauki (Bielawska, Woronkow, Sozin), prowadzi studia magisterskie i doktoranckie. W katedrze rokrocznie 7—10 osób broni prace dyplomowe z historii Polski i zwiększa kadry rosyjskich „polonistów".

Z naborem studentów na seminaria polonistyczne jest kłopot, gdyż dwie grupy naukowe (Bielawskiej i Woronkowa) nie mogą ogarnąć grona chętnych, a pod względem wyboru tematyki też trudno jest zadowolić wszystkich. Wachlarz zainteresowań sięga bowiem od czasów Odrodzenia, poprzez Oświecenie do XIX i XX wieku włącznie.

Studia doktoranckie przy Katedrze kontynuują 4 osoby. Spośród nich W. Karpow w najbliższym czasie przeprowadzi (a może i już przeprowadził) obronę pracy doktorskiej pt. „Polski ruch robotniczy w latach 1926—1933). Jako stażysta pracował on w archiwach Warszawy, Krakowa i Łodzi, zdobywając szerokie udokumentowanie źródłowe dla bronionych tez. Spośród tegorocznych absolwentów na studia doktoranckie został przyjęty A. Matychin, którego praca dyplomowa o stosunkach gospodarczych radziecko-polskich w latach 1945—1956 wyróżnia się nie tylko solidnością, dobrze świadczącą o początkującym badaczu, ale i oryginalnością koncepcji i śmiałością przy krytyce szablonu, jaki znamionował kontakty gospodarcze z Polską do 1955 r.

Należy podkreślić, że pomiędzy Katedrą kierowaną przez prof. I. Woronkowa, a łódzkim środowiskiem historycznym zawiązały się już przed laty silne więzy współpracy, zażyłości, przyjaźni. Gośćmi Katedry byli ostatnio łódzcy profesorowie Missalowa, Dutkiewicz, docenci Bortnowski, Korzec, adiunkci Bronowski i Fijałek. Każdy z nich wywiózł poza „bagażem naukowym", jakże bogaty ładunek wrażeń i doświadczeń dzięki nadprogramowemu umożliwieniu udziału w wycieczkach, spotkaniach i dyskusjach, często organizowanych ad hoc z myślą o zaspokojeniu zainteresowań łódzkich gości.

Praca dydaktyczna katedry stanowi tylko jedną stronę medalu, druga — to badania naukowe. W sierpniu br. ukazała się pod redakcją I. Bielawskiej i I. Woronkowa pokaźna książka pt. „Historiografia słowiańska". Jest to zbiór studiów i szkiców, spośród których wysuwają się na czoło rozprawy o Tadeuszu Korzonie wielkim historyku polskim przełomu XIX i XX wieku (I. Woronkow) oraz próba syntetycznego ujęcia powojennych badawczych wysiłków historyków radzieckich na odcinku przeszłości narodów słowiańskich (I. Bielawska i D. Oczak). Obecnie docent Bielawska kończy monografię pt. „Rosja a polski ruch narodowo-wyzwoleńczy lat 60-tych XIX wieku".

Swego rodzaju konkurencyjnym dla Moskwy ośrodkiem polonoznawczym jest Uniwersytet Lwowski, gdzie pod kierunkiem prof. Pochylewicza rozwija prace również Katedra Historii Zachodnich Słowian. Razem z prof. Pochylewiczem pracują: docent Bielakiewicz, wykładowcy Trusiewicz i Karpienko, a prace doktorskie kończą S. Bokałło i N. Krikun. Również uniwersytet w Mińsku organizuje katedrę, która będzie specjalizować się w zakresie historii Polski.

Długa jest lista uniwersytetów radzieckich, które dają studentom możliwość specjalizacji w zakresie historii Polski, gromadzą polskie księgozbiory i organizują odczyty publiczne o polskiej tematyce. Wykłady i seminaria z zakresu dziejów Polski są prowadzone w leningradzkim, kijowskim, charkowskim, woroneskim i innych uniwersytetach.

W dalekim Irkucku docent Kowal już przed paru laty uruchomił seminarium, na którym studenci w oparciu o zasoby archiwalne ujawniają wkład Polaków w zagospodarowanie Syberii oraz współpracę i związki zesłańców polskich i rosyjskich.

Podobnie jak docent Kowal w Irkucku, zamiłowanie i zainteresowanie dla historii Polski w Pietrozawocku (Karelska Autonomiczna Republika) szerzy st. wykładowca Borys Popkow. W znacznej mierze w oparciu o własny bogaty księgozbiór, sprowadzane fotokopie i mikrofilmy, prowadzi on wykłady i seminarium własne z historii Polski.

Żywa wymiana korespondencji i książek pozwala Popkowowi na szybką recepcję ostatnich osiągnięć historyków polskich. Jest on także autorem ciekawej rozprawy wydanej przez Instytut Słowianoznawstwa pt. „Współcześni o działalności politycznej J. Lelewela". Obecnie Popkow pracuje nad biografią Lelewela. Będzie to pierwsza tego rodzaju praca rosyjskiego uczonego.

A jak przedstawiają się możliwości badawcze i dydaktyczne nad historią ZSRR w Polsce? Zanim odpowiem na to pytanie w następnym artykule, pragnę tylko zasygnalizować smutny fakt. Na 7 katedr historii ZSRR, w uniwersytetach polskich, obsadzone są tylko cztery.

PROBLEM RASOWY W USA

Po New Yorku i Los Angeles w lecie 1966 r. Chicago stało się głównym ośrodkiem konfliktu między Murzynami a białymi. W Cicero, sławnej dzielnicy Chicago, gdzie niegdyś królował legendarny szef gangsterów Al Capone, panuje przemoc i terror.

Rozruchy rasowe były tutaj następstwem rozmyślnie wywołanego kryzysu. Pod koniec każdego tygodnia czarni demonstranci maszerowali przez dzielnice białych, chcąc sobie wywalczyć prawo wyboru mieszkań. Biali atakowali Murzynów, toteż policja musiała ścisłym kordonem otoczyć demonstrantów, aby nie dopuścić do rozlewu krwi. Mimo to biali, wśród których było kilku amerykańskich nazistów, przerwali w paru miejscach kordon policji i zlinczowali kilku Murzynów.

Naziści nieśli transparenty z napisami: „Z powrotem do Afryki", „Zoo was poszukuje". Demonstranci wezwani przez pastora Kinga do niestosowania przemocy znosili spokojnie obelgi białych. King pragnął doprowadzić do kryzysu, ale nie chciał otwartej walki. Dlatego też nie zamierzał maszerować do Cicero, ponieważ tam właśnie starcia białych z Murzynami przybierały najostrzejsza formę, tam bardzo często lała się krew. Lecz w końcu Martin King stracił panowanie nad sytuacją. 200 demonstrantów odmówiło mu posłuszeństwa i pomaszerowało do dzielnicy Cicero.

Murzyni rzucali kamieniami i wznosili okrzyki domagające się władzy dla czarnych — „black power".

— „Black power" — to nowe, skrajne hasło tych, którzy nie chcą dłużej czekać na ludzkie prawa. Pragną oni wybuchu murzyńskiej rewolucji, szydzą z umiarkowanych przywódców typu pastora Kinga, obiecują władzę czarnym, nie precyzując dokładniej, co to znaczy i w jaki sposób można osiągnąć takie cele.

Nowy przywódca Związku Studentów Murzynów Carmichael oświadczył w wywiadzie telewizyjnym: „Black power" oznacza, że chcemy przyjąć narzuconą nam walkę i kto wie, może, rzucić na kolana kraj, który w dalszym ciągu uciska Murzynów".

James Meredith, który został postrzelony podczas marszu protestacyjnego w Missisipi, powiedział: „Jeżeli prawo nie chroni Murzynów przed atakami ze strony rasistów, czarni powinni się zorganizować i na przemoc odpowiedzieć przemocą."

Eddie Davies, przywódca organizacji „Afrykańskich Nacjonalistów" oświadczył, że wzmagająca się walka Murzynów o swoje prawa doprowadzi w końcu do wojny między białymi i kolorowymi. Niegdyś było to zdanie niewielkiej grupy zwolenników „black power", obecnie podobne poglądy reprezentują nawet umiarkowani intelektualiści murzyńscy, jak np. Hans Massaquoi, zastępca redaktora naczelnego „Ebony" (dziennik dla Murzynów, nakład — milion egz.).

Przed 100 laty, kiedy Yankesi pokonali właścicieli niewolników z Południa, Kongres przyznał Murzynom czynne i bierne prawo wyborcze, a równocześnie otworzył im — oczywiście, tylko teoretycznie — dostęp do wszystkich urzędów. Reakcją białych było zorganizowanie Ku-Klux-Klanu i zastosowanie metod sędziego Lyncha. Po odejściu Yankesów doszło do bezwzględnej dyskryminacji Murzynów. Biali przeprowadzili całkowity podział między rasami. Dyskryminacja objęła kościoły, cmentarze, hotele, parki, środki lokomocji, szkoły i restauracje, gdzie miejsca dla białych i czarnych zostały oddzielone od siebie. Zabroniono Murzynom nawet gry w szachy z białymi. Najdrobniejsze przekroczenie tych zakazów prowadziło do lynchu. W pierwszej połowie naszego stulecia dokonano ponad 2 tys. morderstw na tle rasowym. Dyskryminacja wywołała migrację Murzynów z Południa na Północ. Ale tutaj wpadali oni często w jeszcze większą zależność, pojawiła się groźba bezrobocia i głód mieszkań. W olbrzymich gettach murzyńskich szerzy się alkoholizm, pornografia, prostytucja i handel narkotykami, mnoży się liczba rabunków i morderstw. Tutaj właśnie nowo powstały proletariat murzyński rzucił hasło „black power". Murzyni walczą przede wszystkim o poprawę warunków bytowych. Aby wyrobić sobie pogląd na sytuację w murzyńskich gettach, wystarczy pojechać parę kilometrów od centrum Nowego Jorku do Harlemu. Piąta część mężczyzn w Harlemie nie ma pracy. Przeciętny dochód rodziny Murzyna jest dwa razy mniejszy od zarobków rodziny białego. Śmiertelność wśród czarnych noworodków jest dwa razy większa, liczba narkomanów — osiem razy większa niż w pozostałej części Nowego Jorku.

Rozruchy w gettach murzyńskich położyły kres obojętności białych. Rozpoczęto walkę z nędzą i bezrobociem, niektórych Murzynów awansowano na uprzywilejowane stanowiska. Ale w lecie 1966 roku żądanie „black power" zmobilizowało białych do kontrakcji, która objęła nawet umiarkowanych przedstawicieli Kongresu. W roku 1964 i 1965 parlament uchwalił nowe prawa obywatelskie dla czarnych, najważniejsze w dotychczasowej historii amerykańskich Murzynów. Zagwarantowano im równe w teorii, prawo wyborcze i równouprawnienie we wszystkich miejscach pracy. Lecz w roku 1966 Kongres pozostawił bez odpowiedzi projekt ustawy, gwarantującej wolny wybór mieszkań. Politycy obawiają się, po ostatnich rozruchach, że mogą stracić zbyt wiele głosów w zbliżających się wyborach do Kongresu. Strach i nienawiść zaostrzyły uprzedzenia i antypatie w stosunku do czarnych. Ankieta przeprowadzona przez „Newsweek" wykazuje, że większość białych uważa czarnych za niższą rasę. 69 proc. ankietowanych wierzy, iż Murzyni mają „niższą moralność", 44 proc. sądzi, że czarni są z natury przestępcami, 88 proc. wszystkich białych zabroniłoby swojej córce rendez-vous z Murzynem, nie mówiąc już o małżeństwie. Większość uważa, że najodpowiedniejszym zajęciem dla czarnych jest zawód służącego, czyścibuta i tragarza. Każda akcja Murzynów wywołuje coraz silniejszą reakcję białych. Krąg amerykańskiego problemu stulecia zamyka się.

Ale czy naprawdę Murzyni wierzą w zrealizowanie hasła „black power"? Tylko 15 proc. czarnych wyraża gotowość wyjścia na ulicę i brania udziału w demonstracjach.

Opracował: ADAM MACH

WYPOWIEDZI MURZYNÓW

Przedstawiciel młodzieżowej organizacji „Harlem Youth Opportunities Unlimited" przeprowadził rozmowy z przedstawicielami różnych warstw społecznych w Harlemie i utrwalił je na taśmie magnetofonu. Oto wypowiedzi kilku młodych Murzynów:

„Od sześciu tygodni przewody kanalizacyjne w piwnicy są zatkane. Teraz stoi tam woda i mnoży się robactwo. Wczoraj dowiedziałam się, że w jednym z mieszkań szczury zaatakowały gospodynię. Nie mogła sobie z nimi poradzić. Grasowały w kuchni i biegały po całym domu".

DZIEWCZYNA LAT 15

* * *

„Można naturalnie pójść do urzędu zatrudnienia. Ale jeszcze nim się tam wejdzie, urzędnicy już potrząsają przecząco głowami — nie ma pracy. Zupełnie inaczej przyjmuje się tam białych: „Ależ proszę, niech pan usiądzie, mamy coś dla pana. Może będzie to panu odpowiadać". Większość białych otrzymuje pracę".

MĘŻCZYZNA LAT 35

* * *

„Nie mam żadnego celu. Jedyną przyjemnością w moim życiu jest morfina zawarta w tej oto strzykawce. Jestem biedny i mogę się cieszyć tylko tym. Nigdy nie miałem możliwości zarabiania pieniędzy, nigdy nie posiadałem niczego. Jedyną radością mojego życia jest ta strzykawka, ale to właściwie nie jest niczym konkretnym".

MORFINISTA LAT 26

* * *

„Uważam, że powinniśmy się wszyscy połączyć i za każdym razem kiedy ktokolwiek będzie wymachiwał gumową pałką, powinniśmy mu ją odebrać i dać mu lanie, by wiedział co czuje bity Murzyn".

MĘŻCZYZNA LAT 35

Żałuję, że nie jestem spokrewniona z Himmlerem

WYWIAD Z SEKRETARKĄ HITLEROWSKIEJ ORGANIZACJI W CHICAGO, ERIKĄ HIMMLER

„Trwające od kilku tygodni rozruchy na tle rasowym w Chicago, dały pretekst grupie amerykańskich nazistów do rozwinięcia nagonki przeciwko Murzynom. Naziści rzucili hasło wysiedlenia wszystkich Murzynów do Afryki i zorganizowali tzw. „białą gwardię" do walki przeciwko „czarnuchom". Na czele partii amerykańskich nazistów stoi wielbiciel Hitlera. George Lincoln Rockwell. Sekretarzem grupy nazistów w Chicago jest 21-letnia Erika Himmler. Nad bezpieczeństwem której czuwa towarzysz w brunatnej koszuli i niemiecki owczarek. Rozmowa, którą przytaczamy, toczyła się w siedzibie partii nazistowskiej w Chicago przy Ohio Street West, nr 1314.

DZIENNIKARZ: Panno Himmler, czy jest pani spokrewniona z szefem SS Heinrichem Himmlerem...

ERIKA H.: Bardzo chciałabym być spokrewniona z Himmlerem, byłabym dumna z tego, że łączą mnie więzy krwi z Gudrun Himmler, która z pewnością czuje się osamotniona.

DZIENNIKARZ: Dlaczego i kiedy przystąpiła pani do partii nazistowskiej?

ERIKA H.: Członkiem partii zostałam przed dziesięcioma miesiącami, ale nie zdając sobie z tego sprawy już wcześniej podzielałam poglądy nazistów. Najpierw myślałam, że najbardziej odpowiadałoby mi prawe skrzydło partii republikańskiej. Potem przy pomocy członków Ku-Klux-Klanu nawiązałam kontakty z partią nazistów. Fascynuje mnie symbol i ideologia tej partii. Właśnie tego szukałam.

DZIENNIKARZ: Czy amerykańscy naziści mają powiązania z Niemcami?

ERIKA H.: Mamy kontakty z ludźmi o podobnych poglądach w Niemczech, Austrii, Belgii, Argentynie, Chile i w krajach skandynawskich. Jesteśmy członkami światowej unii narodowych socjalistów, której program całkowicie nam odpowiada.

DZIENNIKARZ: Wasz program żąda, by „wszyscy Żydzi, którzy wzięli udział w marksistowskim spisku przeciwko swojemu narodowi lub przeciwko ludzkości, powinni zostać skazani na śmierć i straceni".

ERIKA H.: Nie mamy nic przeciwko pojedynczym Żydom. Ale większość z nich to komuniści i spiskowcy.

DZIENNIKARZ: Czy chcecie deportować Murzynów do Afryki?

ERIKA H.: Jesteśmy przeciwni mieszaniu ras. Pragniemy, by biali byli panami swego kraju. Chcemy usunąć zagrożenie bezpieczeństwa białych przez bandy Negrów i wykluczyć żądanie „władzy dla czarnych".

DZIENNIKARZ: Dla osiągnięcia tych celów pragniecie stworzyć gwardię, rodzaj SS...

ERIKA H.: ...Nie, rodzaj SS mamy już teraz, są to „Storn-Troopers". Obecnie chcemy stworzyć rodzaj straży obywatelskiej, oddziały, które zabezpieczą przyszłość i bezpieczeństwo białych w USA. Nie może powtórzyć się to, co wydarzyło się przed rokiem w Watts, gdzie czarne pospólstwo plądrowało, paliło i mordowało. Chcemy być uzbrojeni na wypadek walki między czarnymi i białymi.

DZIENNIKARZ: Ilu białych należy do waszej organizacji?

ERIKA H.: Nasza organizacja jest na razie niewielka, ale istnieje wielu Amerykanów myślących naszymi kategoriami. Od chwili wybuchu demonstracji murzyńskich zyskaliśmy w naszym okręgu 300 nowych członków. Wszędzie tam, gdzie Murzyni doprowadzają do kryzysu, rośnie zainteresowanie naszą partią.

DZIENNIKARZ: Jakie cele stawiacie sobie na przyszłość?

ERIKA H.: W roku 1972 przejmiemy władzę, nasz wódz Lincoln Rockwell zostanie prezydentem USA.

„Nowomiejska" po raz wtóry

Do „Odgłosów" przyszedł list. Przytaczam go z pewnymi skrótami.

Łódź, dnia 2 października 1966 r.

SZANOWNA REDAKCJO!

Ja w sprawie podlegającego dyskusji artykułu Pana Andrzeja Makowieckiego pt. „Szczęśliwy żywot Józka Krawczyka".

Artykuł napisany z dużym zacięciem literackim: czyta się go z zainteresowaniem i... dreszczykiem grozy. Treść jego stała się znana bałuckiej młodzieży, nawet tej, która zazwyczaj „Odgłosy" omija z daleka. Cieszy mnie, że znalazł się ktoś, kto w zręcznych słowach i w zajmującym przedstawieniu faktów opisał curiculum vitae Józka Krawczyka.

Pozytywną strona artykułu jest poświęcenie uwagi pracownikom MO, podkreślenie ich trudnej pracy i psychologicznego podejścia do bałuckich mętów.

Na większa uwagę zasługuje ów osobny rozdział o kawiarni „Nowomiejska", o typach, które tam przebywają. Ze słów autora można wywnioskować, że lokal ten, to unikat w swoim rodzaju, melina gromadząca młodocianych przestępców.

Być może, było tak kiedyś, i to nawet dość dawno. Jestem stałą bywalczynią tej kawiarni i, o zgrozo, przesiaduję w salce po prawej stronie, która tak niechlubnie została opisana przez Pana Makowieckiego. Czytając artykuł ze zdziwieniem rozglądam się wokół, nie mogąc, niestety, nigdzie zauważyć krzykliwych babo-chłopów i chłopo-bab o tłustych włosach i cuchnących oddechach. A przecież są to osoby na pewno te same, którym autor raczył poświęcić swoją cenną uwagę.

Nie ma również szatniarza, cyt.: „rozdającego ukłony na lewo, a perskie gały na prawo".

Nie zauważyłam dwunożnych szczeniaków, półgłówków i idiotów wymachujących scyzorykami przed oczyma współtowarzyszy.

Jeśli chodzi o szafkę w rogu sali, gdzie można było znaleźć obie puste szkło, to jest już od przeszło roku zamknięta na przysłowiowe cztery spusty.

I cóż, artykuł niezbyt na czasie. Powinien być wydrukowany, gdy sprawy te były aktualne. Należałoby przed wydaniem artykułu sprawdzić stan obecny, porównać i wyciągnąć korzystne wnioski.

Ponieważ autor jeszcze sprawy nie zakończył, więc mam nadzieję, iż następny artykuł, który ukaże się w „Odgłosach", będzie mówił również o tych pominiętych stronach pozytywnych kawiarni.

Na tym kończę, marząc skrycie o tym, iż mój list, wyrażający zresztą opinię całej prawej salki, nie pozostanie bez echa.

Jadwiga Krakowiak
Łódź
ul. Wojska Polskiego 40 m. 43

* * *

Tyle list: jasny, odważny, poddający w wątpliwość ostatni rozdział mojego reportażu, prowokujący do ponownej penetracji trudnego terenu, sugerujący zmiany na lepsze i konieczność, nieuchronną konieczność, prasowej publikacji pod tytułem: „Wczoraj i dziś „Nowomiejskiej" albo: „Rehabilitacja i metamorfozy ex-spelunki".

„Wczoraj" i „dziś" — to słowa okazjonalne. Okoliczniki czasu, jak: „dość dawno" i „zimą", to także słowa okazjonalne. Słów takich użyła autorka w liście, i ja: w reportażu. Ona napisała: „Być może, było to kiedyś, i to nawet dość dawno", ja napisałem: „Zima, podczas akcji CYWIL, wpadłem do „Nowomiejskiej"...

Ja mam prawo spytać autorkę — kiedy było to „dość dawno", w roku 1960? A może w roku 1968? A może w czasach Szymona Słupnika?...

Ale autorka ma również prawo spytać — kiedy była ta „zima", o której pan pisze? Może pięć lat temu?

Więc ja odpowiadam: ta „zima" była w roku 1966. I ta „zima", ta „Nowomiejska" — nie jest wcale literacka fikcją. Był półgłówek wymachujący scyzorykiem, babo-chłopy o zmierzwionych, tłustych włosach, szczeniaki o cuchnącym oddechu i bezczelnych obyczajach, wyrostek pijany, z rękami w kieszeni, stawiający milicjantom bierny opór, była bijatyka, z trudem zaprowadzony porządek i szafka na szkło w kącie sali. Otwarta! A pani twierdzi, że ja chronią cztery spusty. Pani się myli. Owszem, od roku jedni próbują szafkę zamknąć — inni otworzyć.

Ale nie byłbym dobrym dziennikarzem, gdybym się nie przyznał do grzechu. Pani ma rację — popełniłem błąd; powinienem sprawdzić obecny stan rzeczy, porównać z czarną przeszłością i wyciągnąć korzystne wnioski. Powinienem się przekonać, że szafka na szkło jest zamknięta, i że nie ma żadnego słabego szatniarza, bo funkcję tę sprawuje kobieta. Jeśli szatniarz był, to zaledwie parę dni, na zastępstwie... Tu jednak wkradł się do rozumowania pani błąd logiczny; słaby szatniarz jest lepszy od słabej kobiety, najlepszy zaś jest szatniarz mocny, szatniarz-wykidajło.

Z drugiej strony — z listu pani wynika, że w „Nowomiejskiej" jest obecnie tak spokojnie, że nie zachodzi konieczność żadnej interwencji. Ależ to, po prostu, wspaniałe! Młodzież, twierdzi pani, ta sama, co zima, ta sama, którą opisałem w reportażu — a mimo to grzeczna, układna jak w szkole, schludna...

A więc zaszły piękne zmiany? Ja się jeszcze pod tym podpisać nie mogę. Ale, być może, zaszły naprawdę. Niech się tylko przekonam, że pani ma rację — odnotuję to z radością i z reporterskiego obowiązku.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

PS. Czekam na dalsze listy — od bywalców prawej salki, od ich rodziców, od wszystkich osób, których losy „Nowomiejskiej" w jakimś stopniu dotyczą.

A. M.

OSKAR JAN TAUSCHINSKI

Kim jest ta KOBIETA

WARSZAWA, 1878

Ubogie mieszkanie pana profesora nie ma określonego stylu. Jest trochę zaniedbane. Widać, że brakuje tu troskliwej ręki, pełnego miłości spojrzenia pani domu; zrzędząca stale służąca ma tyle roboty, że nie starczy już czasu, aby przymocować do okien firanki lub włożyć kwiaty do wazonu. Za cud uznać należy, że w ogóle gospodarstwo dotąd się nie rozleciało, skoro przy dużym stole siedzi aż dziesięcioro dzieci. Trzeba zasłać dziesięć łóżek, oczyścić dziesięć par butów, zacerować dziesięć par skarpet i pończoch.

Wcześnie owdowiały profesor ma wprawdzie tylko trzy córki i jednego syna. Pozostałe dzieci są jego pensjonariuszami, których przyjął do swego domu, gdyż jego nauczycielska pensja nie starczy, by swym własnym dzieciom zapewnić wykształcenie. Po skromnym obiedzie, kiedy odniesiono już talerze do kuchni, duży pokój jadalny zamienia się w to, co pan profesor nazywa „fabryka wiedzy". Dziesięć twarzy dziecięcych pochyla się nad zeszytami, podręcznikami i mapami. Dzieci wzajemnie odpytują słówka, poprawiają błędy ortograficzne w zeszycie sąsiada i przeglądają zadania rachunkowe. Przy tym jest okazja do różnego rodzaju żartów. Prowadzi się wojny papierowymi kulami i gumami, chowa się koledze podręczniki i przybory do pisania. Chłopcy przywiązują dziewczętom warkocze do oparcia krzesła, a kiedy te pospiesznie wstają, pociągają za sobą z hałasem krzesło. Oczywiście dziewczęta rewanżują się i zaszywają chłopcom rękawy przy bluzkach, które wisza w przedpokoju. Dzisiaj można obok stołu naliczyć nawet jedenaście głów dziecięcych, gdyż do jednego z pensjonariuszy przyszedł jego kolega, by prosić o wytłumaczenie trudnego zadania z trygonometrii. Z podziwem patrzy ten obcy chłopak na jedną z małych dziewcząt, siedzących na przeciwległym końcu stołu, która już dawno odłożyła podręczniki oraz zeszyty i teraz czyta jakąś książkę. Cóż ona winna, że zawsze tak szybko rozwiązuje zadania i wszystko idzie jej od ręki. A kiedy — jak właśnie teraz — nie musi nikomu pomagać, to idzie do biblioteki profesora i wybiera sobie stamtąd książkę.

Obcy uczeń spostrzegł, że najpierw zatkała sobie palcami uszy, by wyłączyć się z hałasu uczących się dzieci. W międzyczasie jednak mała opuściła już ręce i zatopiła się zupełnie w lekturze. Ktoś zagaduje ją. Ona jednak nikogo nie słyszy. Kulka z papieru trafia ją w skronie. Nawet tego nie zauważyła. Koledzy biją pięściami blisko niej o stół. Lecz nic nie dociera do jej świadomości. Wszystkie dzieci gromadzą się więc koło małej czytelniczki i na rozkaz: „jeden, dwa, trzy" zaczynają swe wojenne okrzyki. Wtedy wreszcie podnosi głowę znad książki, ale nie bierze krzyków do siebie i znowu czyta dalej. Dopiero, gdy jedna z dziewcząt mocno nią potrząsa, odkłada książkę i zapytuje jakby budząc się ze snu:

„Tak... chciałaś coś, Broniu?"

Wszyscy wybuchają śmiechem i wracają do swych zadań. W międzyczasie udało się rozwiązać trudne zadanie z trygonometrii i młody chłopak musi wrócić do domu.

„Kim jest właściwie ta osobliwa dziewczynka?" pyta już w przedpokoju swego kolegę szkolnego. „Początkowo mnie także wydawała się dziwaczna", śmieje się ten drugi, „ale teraz przyzwyczaiłem się już do niej. To jest Mania, najmłodsza córka gospodarza".

WARSZAWA, 1883

Bardzo stary pan siedzi trochę znudzony wśród gości w uroczyście ozdobionej auli gimnazjum dla dziewcząt. Z przemówień i śpiewów nie słyszy wiele, jest bowiem nieco głuchawy.

Znów opuszcza szkołę, złożywszy egzamin maturalny, ósma klasa. W alfabetycznej kolejności wywołuje się dziewczęta, które podchodzą do dyrektora i otrzymują świadectwo wraz z serdecznym uściskiem ręki przełożonego i potem zajmują miejsce w pierwszym rzędzie. Niektóre z nich przypominają jeszcze prawdziwe uczennice. Inne już są młodymi damami, które może już jutro się zarecza.

Jako ostatnia pojawia się na podwyższeniu blada dziewczynka z jasnymi włosami, prawie jeszcze dziecko. Dyrektor nie zadowala się tym razem okolicznościowym zwrotem grzecznościowym, ale rozwija świadectwo i głośno je odczytuje.

Ów, stary, przygłuchawy pan przykłada rękę do ucha i ze zdziwieniem dowiaduje się, że owe dziecko, które według jego zdania jest o wiele za młode, by zdawać egzamin dojrzałości, ze wszystkich przedmiotów ma oceny celujące. Orkiestra szkolna gra tusz, dyrektor wręcza małej bladej panience świadectwo. Nauczyciele wstają i spieszą do prymusa. Nauczycielki obejmują ją, a panowie profesorowie potrząsają tak jej ręką, że drży cała jej drobna postać. Ktoś zaczyna klaskać w ręce, inni idą za przykładem i wnet rozbrzmiewa cała aula głośnym aplauzem. Wokoło widać same rozpromienione twarze. Tylko mała blondynka, której należą się oklaski jest zażenowana i najchętniej uciekłaby z sali.

„Kim jest ta dziewczynka?" pyta głuchawy pan swą sąsiadkę, grubą panią, której na twarzy wystąpiły z wrażenia krople potu i która nie zamierza przestać klaskać. „Nie dosłyszałem nazwiska".

„Cooo? Pan jej nie zna?", odpowiada oburzona pani wycierając równocześnie czoło chusteczką. „To jest przecież duma naszego zakładu, mała Skłodowska. Nie ma jeszcze szesnastu lat. O niej pan jeszcze usłyszy".

OKOLICA KRAKOWA, 1884.

Służba dworska biega w dużym zdenerwowaniu. Trzeba zapalić w piecach i ozdobić choinę i girlandami pokoje gościnne na parterze. Z kuchni unoszą się drażniące powonienie zapachy świeżo pieczonych gęsi, ciasta i tortów. Także gospodarz i jego małżonka są bardzo zajęci i nie mają czasu, by zająć się swym gościem, młodym kawalerem z Wiednia.

„Czy zapowiada się bal?" zapytuje on uprzejmie. „Nie, ale prawie bal. Dziś wieczór spodziewany jest u nas kulig".

„Kulig? Co to jest".

„Trudno to wyjaśnić. Zobaczy pan sam. Byłoby jednak dobrze, gdyby pan wdział frak i przygotował sobie futro, gdyż w czasie kuligu wszystko dzieje się bardzo szybko i nie wiadomo, gdzie dzisiaj jeszcze wylądujemy". Tak, wszystko dzieje się bardzo szybko, to można zauważyć. Nagle słychać z dala dzwonki sań oraz dźwięki skrzypiec i kobzy. Mimo zmierzchu zapadającego zimowego wieczoru natychmiast dostrzega się trzy, cztery, pięć sań, które spod lasu pędzą wprost w kierunku dworu. W pierwszym siedzą grajkowie. Grają i rzępolą z wielkim zapałem. Na koźle stoi młoda dziewczynka w rozpiętym futrze. Pod nim widać strój krakowskiej chłopki z czarnym aksamitnym gorsetem i koronkową koszulką. Jej włosy rozwiewają się wesoło na wietrze. Rozwiewają się też kolorowe wstążki, które są wplecione we włosy. Dziewczyna wzięła z ręki lejce i sama pewnie kieruje zaprzęgiem. Za nią w następnych saniach, same kobiety w odświętnych strojach ludowych i starsze towarzystwo, zaś panowie w jasnych płaszczach zapiętych pasami towarzyszą pojazdom konno. Na głowach mają czworokątne czerwone czapki z pięknymi piórami. W rękach trzymają pochodnie.

„Nadjeżdża kulig!" woła gospodyni do kuchni; wybiega przed dom, by przywitać gości z udanym zdziwieniem i prawdziwą radością. Już nadjeżdżają sanie. Kiedy ostatnie właśnie zakręcają w aleję lipową, pierwsze już stoją przed domem. Muzykanci wyskakują z powozu nie przerywając gry i wchodzą do sali tanecznej. Natychmiast idą za nimi goście w uroczystym marszu.

Młoda dziewczyna z pierwszych sań odrzuciła swe futro i bez zażenowania porywa obcego panicza do tańca, tworząc z nim pierwszą parę. To przecież polonez, myśli pan z Wiednia. To znam przecież z sali koncertowej. Czy nie jest to Chopin? Ale jak inaczej brzmi to tutaj w ojczyźnie kompozytora.

Jako drugi taniec orkiestra gra mazura i teraz przybyszowi nie idzie już tak łatwo jak poprzednio. Teraz trzeba bowiem naśladować wysokie, rytmiczne kroki partnerki. Prawdziwy lew salonowy musi jednak umieć pokonać różne trudności towarzyskie, zwłaszcza jeżeli nie chce stracić tak uroczej tancerki. Wtedy nawet taniec ludowy nie może mu być obcy, a żaden powietrzny skok za trudny.

Zabawa jest w pełnym toku. Spódnice powiewają, cholewy wystukują takt. Służące roznoszą półmiski z zimną pieczenią, drobiem i pieczywem. Lokaje niosą duże tace z winem i wódkami. Z wszystkich pokoi gościnnych dochodzi śmiech, śpiew i muzyka. Ale nagle — na jeden rozkaz — wszystko rzuca się do sań. Równie szybko, jak kulig przypędził, jedzie teraz do następnego dworu, gdzie znowu będzie taniec, śpiew i posiłek. Tylko teraz dziki pochód karnawałowy powiększył się o jedne sanie, gdyż oczywiście gospodarze z ich austriackim przyjacielem jadą z kuligiem.

Daremnie szuka młody panicz spojrzenia swej tancerki. Ona go już nie widzi. Ona znów prowadzi sanie, tym razem z pięcioma młodymi chłopkami, które na głosy śpiewają piękne pieśni ludowe.

„Kim jest ta dama, z którą tańczyłem?" pyta przybysz, któremu może nie tylko z powodu wysokich skoków mazurka mocniej bije serce. „Nie wiem na pewno" śmieje się gospodyni, „na kuligu nie zna się wszystkich gości. Ona jest warszawianka i mówiono mi, że jest obecnie w gościnie u sąsiadów".

Przełożył: EDMUND ROSNER

OD TŁUMACZA: Oskar Jan Tauschinski, współczesny pisarz austriacki, jest nie tylko znakomitym tłumaczem literatury polskiej, lecz także autorem oryginalnym, który raz po raz sięga w swej twórczości po motywy polskie. Bohaterką drukowanego tu fragmentu większej całości jest Maria Curie-Skłodowska. Książka ta miała w Austrii już kilka wydań oraz została przełożona na język grecki, holenderski, szwedzki i japoński. Powyższy fragment ukazuje się w języku polskim po raz pierwszy.

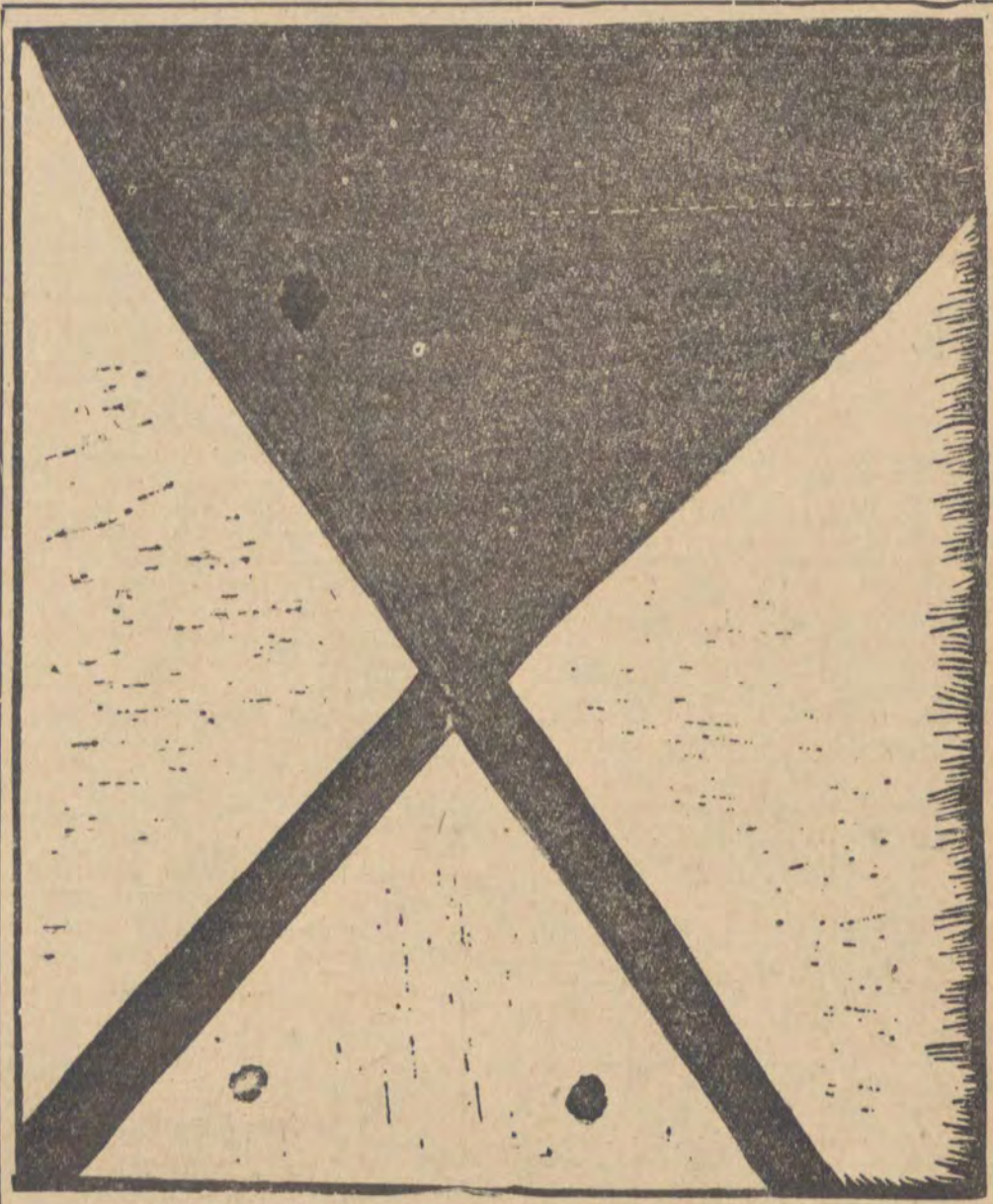

Stanisław Fijałkowski — „Nie chcę widzieć Julii" — Linoryt.

KSIĄŻKI NADESŁANE

Martin Walser — MAŁŻEŃSTWA W PHILIPPSBURGU, KIK, cena zł 20.—

Maria Kazimiera d'Arquien de la Grange — LISTY DO JANA SOBIESKIEGO, Czytelnik, cena zł 35.—

Przyboś — LIRYKI, PIW, cena zł 15.—

Karpiński — WIERSZE WYBRANE, PIW, cena zł 15.—

Franz Kafka — PROCES, Państwowy Instytut Wydawniczy, cena zł 17.—

Jan Czarny — FRASZKI I ANTYFRASZKI, WŁ, cena zł 12.—

Sara Nomberg-Przytyk — KOLUMNY SAMSONA, WL, cena zł 14.—

Stefan Żeromski — POPIOŁY, tom, I, II i III, Czytelnik, cena zł 30.— za jeden tom.

Henryk Markiewicz — LUDZIE BEZDOMNI STEFANA ŻEROMSKIEGO, Czytelnik, cena zł 13.—

Jacek Bocheński — BOSKI JULIUSZ, Czytelnik, cena zł 17.—

Joseph Conrad — TAJFUN I INNE OPOWIADANIA, PIW, cena zł 15.—

Jan Gustaw Fal, Antoni Świeszczakowski — TWOJE HOBBY, Wyd. Zw. CRZZ, cena zł 30.—

TADEUSZ SŁUPECKI

Po Olsztyńskim Festiwalu Estrad

O Estradzie pisano już niemało, zakończony jednak niedawno III Ogólnopolski Festiwal Zespołów Estradowych w Olsztynie prowokuje do paru uwag.

Na wstępie kilka przypomnień ogólnych. W kraju istnieje 16 Estrad. Prawie wszystkie z nich posiadają od jednego do kilku zespołów objazdowych, obsługujących pozbawione stałego teatru miasteczka, osady i wsie „Polski prowincjonalnej". Dużo trudniejsze warunki życia i występów w objeździe sprawiają, że w wielu wypadkach do tych zespołów przychodzą aktorzy mniej utalentowani, gdyż ich zdolniejsi koledzy wolą lokować się w teatrach stałych. Oczywiście, uwaga ta nie dotyczy czołówki estradowców polskich, docierających jednak z reguły najczęściej tylko do miast wojewódzkich i niekiedy powiatowych. Uwaga ta nie dotyczy także szeregu uzdolnionych aktorów estradowych w mniej renomowanych zespołach objazdowych. Faktem jednak jest, że konieczność zatrudniania w zespołach objazdowych również wielu słabszych aktorów, w znacznym stopniu wpływa na ogólny poziom występów estradowych w kraju i na słabości Estrady. Zwłaszcza, że dopływ narybku aktorskiego do tych zespołów jest wciąż daleki od potrzeb, przy tym nieraz bywają to jeszcze młodzi ludzie z „prawem współpracy", tj. uzupełniający dopiero swoje estradowe wykształcenie. Gorzej jeszcze, że zdolniejsi aktorzy estradowi z kwalifikacjami często starają się z tych zespołów możliwie szybko uciekać. Dokąd? Do teatrów, telewizji, radia itp. Przykładów tego rodzaju kłopotów nie trzeba szukać daleko. W Estradzie Łódzkiej np. kilku wybijających się solistów, występujących do niedawna w jej zespołach objazdowych, w br. skorzystało z szansy wyjazdu przez „Pagart" za granicę i od szeregu miesięcy występuje poza krajem. Inny przykład: dwaj młodzi aktorzy o wyraźnych dyspozycjach estradowych, którzy w br., jeszcze podczas kończenia studiów w szkole aktorskiej, związali się z Kabaretem Estrady Łódzkiej „Kpiarz", woleli jednak po skończeniu studiów zaangażować się na stałe do teatrów łódzkich, a w Estradzie tylko „dogrywać", wskutek czego Estrada Łódzka ma szereg kłopotów przy organizowaniu występów tego najlepszego swego zespołu.

Można by tu wyliczać szereg dalszych przyczyn, rzutujących na ogólnie niezadowalający poziom polskiej Estrady, nie tylko tej reprezentowanej przez zespoły objazdowe. O sprawach tych jednak pisano dość wyczerpująco w br. w cyklu artykułów „Polityki". Dlatego spróbuję tu raczej podzielić się z czytelnikami paru uwagami innej natury, jakie nasunęły mi się podczas obserwacji tegorocznego Festiwalu Estrad w Olsztynie.

Na festiwalu tym na ogólną ilość 16 Estrad zaprezentowało swoje programy tylko 8 z nich. Oczywiście, pewnym utrudnieniem był tu niezbyt dogodny wrześniowy termin (początek sezonu teatralnego) oraz zawężenie ram festiwalu do „programów literackich", tj. tych z przewagą słowa mówionego nad występami wokalno-muzycznymi i tańcem. Niemniej fakt ten świadczy, że (z pewnymi wyjątkami) część Estrad wolała uniknąć konfrontacji swoich zespołów objazdowych z surowymi ocenami festiwalowego jury. Przewidywana bowiem w regulaminie festiwalu wstępna selekcja zespołów nie została w praktyce przeprowadzona. Z tych 8 programów dwa — Estrady Olsztyńskiej i Bydgoskiej — okazały się żenująco słabe. Czy na podstawie pozostałych 6 programów można wnioskować o stanie polskiej Estrady? Sądzę, że tak, ponieważ są one programami Estrad, które z racji lepszego zaplecza aktorskiego, autorskiego, reżyserskiego itp. tworzą w praktyce czołową grupę Estrad w kraju. Są to Estrady Łodzi, Warszawy (wojewódzka i stołeczna), Rzeszowa, Krakowa i Wrocławia.

Czy widz, oglądający w Olsztynie występy wymienionych Estrad, na festiwalu zawężonym do „programów literackich", mógł w nich uchwycić coś wspólnego, co dałoby się nazwać stylem polskiej Estrady? Chyba to, że nie przypominały one programów varieté, bo nie włączono do nich popisów żonglerów i akrobatów. Poza tym cechowała je tak duża różnorodność (nie tylko koncepcyjna), że sprawiało to nawet kłopoty festiwalowemu jury przy ocenie poszczególnych programów. Podobnie niejednakowy był w poszczególnych programach stosunek do problematyki współczesnej. Na festiwalu, który w założeniu miał również stać się „forum dla polskich twórców estradowych", zabrakło właściwie aktualnych tekstów estradowych, mówiących o naszej współczesności, co zresztą nie jest tylko winą

EWA SIEMIŃSKA

KINO w ślepym zaułku

Problem, o którym chcę pisać, jest złożony i ukazuje bardzo różne oblicza. Gdyby był prosty — z pewnością dawno by został rozwiązany. Tymczasem sprawa kompliku je się coraz bardziej, pogarszając z roku na rok sytuację kin łódzkich. Kinowa Łódź znalazła się w ślepym zaułku, z którego nie widać wyjścia. Z planów naszego miasta wynika, że nie tylko nie będzie poprawy w najbliższych latach, ale że sytuacja ulegnie dalszemu pogorszeniu. Niezbyt to piękny podarunek dla Łodzi, rzecz idzie przecież o sztukę filmową, która w całokształcie dzisiejszej kultury pełni rolę wiodącą. Omówiony tu problem jest więc kwestią społeczną pierwszorzędnej wagi.

* * *

Aby ocena sytuacji nie wypadła jednostronnie, odłóżmy na chwilę na bok pasywa i alarmujące dane, zwracając uwagę na niewątpliwe osiągnięcia. Odgraniczyć tu należy wyraźnie to, co jest zasługą samej Łodzi od tego, co uzyskane zostało dzięki działalności w skali ogólnopolskiej.

O wartości repertuaru kinowego decydują głównie cztery czynniki:
— walory artystyczne filmów,
— wartości poznawcze,
— walory ideowe,
— wartości rozrywkowe,

Żaden z tych czterech czynników nie może być pominięty, jeżeli chcemy, aby sztuka filmowa jednocześnie bawiła, uczyła i wychowywała. Konieczny jest urozmaicony program, by realizować tak określone cele, każdy bowiem gatunek filmowy innego rodzaju wartości wysuwa na plan pierwszy. Polski repertuar filmowy uważany jest pod tym względem za jeden z najlepszych, najbardziej ambitnych i urozmaiconych w świecie. Docenia się u nas potrzebę filmowej rozrywki, to, że zmęczony pracą człowiek chce się po prostu zabawić w kinie przez dwie godziny, odpocząć po trudach dnia. Mają więc wstęp na nasze ekrany filmy „lekkie": komedie, westerny, filmy przygodowe, muzyczne, kostiumowe. Ale mają też wstęp dzieła trudne, często nowatorskie, mimo że są mało komunikatywne dla szerokich rzesz odbiorców i że należy się liczyć, że nie zdobędą zbyt dużej publiczności. Mecenat państwa zapewnia takim ambitnym dziełom filmowym, niosącym wartości artystyczne, ideowe, bądź filozoficzne — „zielone światło".

Nie wystarczy jednak sam program. Trzeba go jeszcze mieć gdzie i na czym pokazać. Tu kończy się problem ogólnopolski i wkroczyć trzeba na swoje ograniczone wyraźnie podwórko. I tu właśnie dzieją się rzeczy zdumiewające, a cała sprawa pachnie wyraźnie skandalem.

Obecnie Łódź posiada 25 kin państwowych (w tym dwa letnie) i 12 kin „pozapaństwowych", tzn. podlegających domom kultury lub zakładom pracy. Łącznie więc działa na terenie Łodzi 37 kin (w tym jedno ruchome) dysponujących łącznie liczbą miejsc 12 860, z czego 1 229 przypada na kina letnie. Czy to dużo, czy mało? Przyjętym na całym świecie miernikiem jest w tym zakresie wskaźnik ilości krzeseł przypadających na 1 000 mieszkańców. Wskaźnik ten wynosi w Łodzi 17,3 i **jest najniższy w całym kraju.** W niektórych rejonach przekracza on liczbę 30, w Warszawie wynosi — dla porównania — 25,7, we Wrocławiu 25,6, bliski jest więc obowiązującemu w Polsce normatywowi 25 krzeseł na 1 000 mieszkańców. Aby osiągnąć ów stan przepisowy Łódź musiałaby wybudować 14—15 kin z widownią po 500—600 miejsc. Tymczasem w planach miasta Łodzi nie tylko nie przewiduje się budowy żadnego kina nowego, ale zakłada się, że zburzonych zostanie kilka kin starych. W najbliższym czasie wyburzone będą kina „Młoda Gwardia" i „Studio", a niedługo ten sam los spotka najprawdopodobniej również kina „Pionier", „Świt", „Rekord" i „Roma". Wskaźnik obecny 17,3 ulegnie więc dalszemu wydatnemu obniżeniu. Nie można absolutnie tłumaczyć i usprawiedliwiać tego faktu przyczyną wzrastania ilości odbiorników telewizyjnych posiadanych przez łodzian. W okresie intensywnego rozwoju telewizji na Zachodzie wskaźnik ten wynosił na przykład w USA blisko 80, we Włoszech ponad 90, 80 w Szwecji, blisko 70 w Anglii i ponad 60 we Francji. Zdystansowali nas także nasi sąsiedzi i to już dobrych kilka lat temu, kiedy to np. Czechosłowacja miała wskaźnik powyżej 40, a NRD ponad 30. Wymowa cyfr jest tutaj chyba wystarczająco dobitna. Czymże jest wobec tych liczb nasze łódzkie 17,3, mające w dodatku maleć z biegiem lat? Już w tej chwili sytuacja jest katastrofalna. Dlaczego władze miejskie nie zatroszczą się o to, by wydźwignąć Łódź z tego impasu, by podnieść ją z niechlubnego ostatniego miejsca w skali ogólnopolskiej, by zapobiec skandalowi dalszego pogarszania się sytuacji? Ta obojętność na sprawy kin w Łodzi, o której chętnie się mówi, że jest stolicą polskiego filmu, jest zupełnie niezrozumiała i niczym nie może być usprawiedliwiona. Dlaczego mamy być upośledzeni? Czyżby stara, spracowana, robotnicza Łódź potrzebowała mniej rozrywki filmowej niż inne miasta i województwa polskie?

Dalsze kompromitujące dane uzyskujemy, jeśli porównamy stan obecny z sytuacją przedwojenną. Brak tutaj co prawda cyfr pozwalających obliczyć taki wskaźnik dla okresu międzywojennego, ale zastosować można przecież miernik innego rodzaju, pozwalający skonfrontować te dwa różne okresy. Roczniki statystyczne („Mały Rocznik Statystyczny" i „Mały Rocznik Statystyki Miasta Łodzi") podają przecież roczną liczbę widzów kinowych. Dzieląc ją przez liczbę mieszkańców otrzymujemy, ile biletów przypadało rocznie na jednego mieszkańca. Oto jak w oparciu o ten miernik przedstawia się sytuacja w poszczególnych latach:

1930 — 11,8 biletu na 1 mieszkańca rocznie.
1938 — 11,2 biletu na mieszkańca rocznie.
1946 — 11,6 biletu na mieszkańca rocznie.
1957 — 12,7 biletu na mieszkańca rocznie.
1961 — 9,7 biletu na mieszkańca rocznie.
1962 — 8,7 biletu na mieszkańca rocznie.
1963 — 7,9 biletu na mieszkańca rocznie.
1964 — 7,2 biletu na mieszkańca rocznie.

W latach trzydziestych liczba łodzian odwiedzających kina w stosunku do liczby mieszkańców Łodzi, była więc znacznie wyższa niż obecnie. Po wyraźnym ożywieniu, wzroście liczby widzów kinowych pod koniec lat pięćdziesiątych, lata sześćdziesiąte przynoszą w Łodzi systematyczny spadek frekwencji kinowej mieszkańców. Kinematografii zdołało już przybyć drugie tyle lat, podbiła nowe kraje, nowe kontynenty, wspaniale rozwinęła się i wzbogaciła, oszałamiając tempem rozwoju i wzrostu, a w Łodzi — czas się zatrzymał. Łódź na przekór światu, logice i choć odrobinę przewidującemu i dalekowzrocznemu spojrzeniu na sprawy kultury filmowej cofa się w swym rozwoju.

Buduje się w Łodzi piękne nowe dzielnice, osiedla. Wznosi się domy mieszkalne, sklepy, szkoły, przedszkola, świetlice. Ale o kinach się nie pamięta.

Tymczasem trudności dotyczą nie tylko budowy kin nowych. Miejski Zarząd Kin, któremu podlegają kina państwowe (25 kin łódzkich) staje dosłownie „na głowie", aby nie mogąc rozbudowywać sieci kin łódzkich (problem ten leży bowiem w gestii Rady Narodowej), jak najlepiej urządzić kina już istniejące. Dzięki staraniom MZK wszystkie podległe mu kina posiadają najnowocześniejszy sprzęt, jaki w tej chwili jest do osiągnięcia w Polsce. Są to dwa typy aparatów projekcyjnych: Ernemann — produkcji NRD i AP — produkcji polskiej. 20 kin, a więc 80 proc. ogółu kin podległych MZK przystosowanych zostało do projekcji panoramicznej. Jest to najwyższy w Polsce wskaźnik procentowy. 16 kin posiada najbardziej nowoczesne źródła światła projekcyjnego — kolby ksenonowe, co jest cyfrą olbrzymią zważywszy, że w całej Polsce posiada je zaledwie 65 kin. Kino „Włókniarz" jako pierwsze kino w Polsce zastosowało kolbę ksenonową o dużej mocy — 2,5 KW. Eksperyment wypadł pomyślnie i MZK stara się o 5 dalszych kolb tej mocy. 11 kin łódzkich posiada telewizory w poczekalniach umilające widzom czas przed seansem.

Wszystko to składa się na jedną „stronę medalu" — tę jaśniejszą, pozytywną. Jest jednak także i druga. Na przeprowadzenie remontów bieżących MZK potrzebuje obecnie sumy 1 600 000 zł, a dysponuje jedynie kwotą 800 000 zł. Niektórym kinom nawet najbardziej generalny remont nie pomoże. Tak np. „Tatry", „Adria", „Młoda Gwardia" mieszczą się w barakach jakże daleko nie tylko od ideału nowoczesnej, wielkomiejskiej budowli kinowej, ale także od wymagań minimalnych. Im już nic nie pomoże. Po prostu trzeba je zburzyć. Nie występuję więc przeciwko zasadzie likwidowania kin przestarzałych, nie nadających się do użytku. Ta operacja jest konieczna. Tak jak konieczne jest wyburzenie całych ulic w Łodzi dla nadania innego oblicza miastu, mimo że mamy wciąż za mało izb mieszkalnych i że nawet szybkie tempo ich przybywania nie pokrywa społecznego zapotrzebowania. Podnoszony przeze mnie alarm dotyczy przede wszystkim budowy kin nowych, co jest chyba społeczną koniecznością.

Albo i taka trudność: przy istniejących kinach znajdują się pomieszczenia, których adaptacja dla potrzeb kinowych rozwiązałaby w jakiejś mierze trudności lokalowe, z jakimi borykają się kina. Nawet i to trudno jest uzyskać. Tak np. kino „Wisła" posiada co prawda piękną poczekalnię dla widzów, ale cierpi na brak pomieszczeń dla personelu. Wystarczy spojrzeć na kasę, nie ma pomieszczenia dla kierownika, nie ma nawet gdzie postawić szaf na garderobę. A przecież adaptacja sąsiedniego pomieszczenia podlegającego Zarządowi Budynków Mieszkalnych rozwiązałaby te trudności. A w jakich warunkach pracuje personel „Gdyni", który zupełnie nie ma się gdzie podziać, pomieszczenie, w którym trzyma się tam widzów przed seansem trudno nawet nazwać poczekalnią. Adaptacja dla potrzeb „Gdyni" sąsiedniego sklepu na pewno przyniosłaby znaczną poprawę.

Źle się dzieje w Łodzi zarówno pod względem planowania, jak i stanu obecnego sieci kinowej. Mamy tu do czynienia z jakąś dziwną polityką kulturalną, z oczywistą krótkowzrocznością. Skandaliczna sytuacja kin w Łodzi, sprzeczna z interesem społecznym i tendencją ogólnopaństwową nie da się — powtarzam raz jeszcze — niczym wytłumaczyć ani usprawiedliwić. Nie ja pierwsza podnoszę alarm. Oto kilka tytułów z prasy codziennej:
— „Wciąż za mało kin w Łodzi",
— „Za mało jeszcze mamy kin, ale i istniejące można lepiej wykorzystać",
— „Jak można polepszyć pracę łódzkich kin"?
— „O dalszą modernizację łódzkich kin".

To tylko wybrane przykłady. Takich wypowiedzi na łamach prasy było znacznie więcej. Problem więc istnieje, nie został „wyssany z palca". Problem wymaga rozwiązania. Przed kinami piętrzą się nie kończące wciąż trudności. Należy wreszcie postarać się o rozcięcie tego węzła gordyjskiego. Tym bardziej, że łódzka sieć kinowa i polityka repertuarowa w pełni sobie na to zasłużyły. Posiadamy dwa kina studyjne: „Studio" i świetnie pracujące kino „Stylowy". To ostatnie łączy w umiejętny sposób starania o atrakcyjność programu z równoczesną troską o podnoszenie kultury widza kinowego, o rozwój i ukierunkowanie zainteresowań publiczności. Zadaniom tym mają służyć wprowadzone imprezy:
— Film miesiąca, tzn. projekcja najbardziej interesującej w danym miesiącu premiery poprzedzona prelekcją,
— Zestaw Polskich Kronik Filmowych z ostatniego miesiąca (pierwsza niedziela każdego miesiąca);
— Prezentacja premier miesiąca — projekcja zwiastunów i omówienie filmów premierowych (także pierwsza niedziela miesiąca — wstęp wolny);
— Nowości krótkiego metrażu (ostatnia niedziela każdego miesiąca).

Każdego z tych pomysłów trzeba pogratulować „Stylowemu". Oto przykład przemyślanej, celowej, pożytecznej, a jednocześnie bardzo atrakcyjnej działalności na polu kultury.

Łódź jako jedyne obok Warszawy miasto w Polsce, organizuje corocznie imprezę Festiwalu Festiwali Filmowych prezentującą najbardziej wartościowy dorobek kinematografii świata.

Mamy kilka kin o specjalnym programie. Obok wymienionych obu kin studyjnych są to:
— Kino Polskich Filmów „Tatry",
— Kino Pożegnań z Tytułem „Adria",
— Kino Programu Dziecięcego „Tatry" (mimo wyraźnego zapotrzebowania jest to pierwsze i jedyne — jak dotąd — kino tego rodzaju w Polsce),
— Kina Krótkich Filmów (zestawy średnio- i krótkometrażowych filmów w określonych dniach tygodnia i w oznaczonych godzinach w kinach: „Tatry", „Muza", „Gdynia", „Młoda Gwardia", „Adria", „Pokój", „1 Maja", „Roma", „Pionier", „Halka").

Oprócz tego organizuje się cykle tematyczne filmów. I tak np. można wymienić z ciekawszych tematów; wśród zorganizowanych w ramach obchodów tysiąclecia cykli:

filmy fabularne

— „Adaptacje literackie na ekranie",
— „Czas rozrachunku",
— „Wielcy pisarze polscy na ekranie",
— „Polscy filmowcy w filmach zagranicznych",
— „Od legendy po dzień dzisiejszy",
— „Polski film autorski".

filmy krótkometrażowe

— „Rozkwit nauki, kultury i sztuki",
— „Folklor Ziemi Łódzkiej",
— „Na śladach historii",
— „Budowle Polski Ludowej",
— „Miasta Polski".

Dzięki takim akcjom wychowuje się widza kinowego, przyzwyczaja się go, by czerpał z filmu nie tylko rozrywkę, by dzieło filmowe stało się dlań źródłem poznania, wartości intelektualnych. Niełatwa to praca, żmudna, bardzo powoli przynosząca rezultaty. Trzeba tu przezwalczyć w odbiorcy niechęć do filmów poważniejszych, nauczyć go obcować z takimi dziełami. Nauczyć go, że w filmie jest miejsce na lekką rozrywkę i na wielkie problemy (tak jak w teatrze, literaturze), wyrobić w nim nawyk poszukiwania jednego i drugiego. Praca to tym trudniejsza, że w grę musi wchodzić czynnik ekonomiczny, decydujący o bycie i niebycie kina.

Jeśli będąc w żenująco złej sytuacji, kina łódzkie prowadzą mimo wszystko tak cenną działalność, to jest to z pewnością jeszcze jeden argument przemawiający za tym, że należą się Łodzi inwestycje w zakresie sieci kinowej. Jest to problem palący. Czy długo jeszcze będziemy czekać na jego rozwiązanie?

Fot. Polgardi Zoltan (Węgry)

---

samych Estrad. Zresztą z sześciu wspomnianych programów problematyce współczesnej poświęcone były właściwie tylko trzy (Estrady Łódzkiej, Rzeszowa i woj. warszawskiego), ponieważ rewelacyjny kabaret „Owca" (Estrada Stołeczna), prezentujący świetne współczesne teksty, jest właściwie programem elitarnym, przeznaczonym dla ekskluzywnego kręgu odbiorców, a pozostałe dwie Estrady oszczędziły sobie kłopotów z autorami współczesnymi, uciekając w przeszłość. Kraków, w programie „Tabakiera Króla Jegomości" — w piosenki epoki Stanisławowskiej, fin de siecle'u, kultury mieszczańskiej, a Wrocław („Ocalenie Izaaka") — w teksty staropolskie, tworząc z nich program kulturalny, będący jednak już bardziej teatrem niż Estradą.

Jakie dostrzegłem w Festiwalu Olsztyńskim propozycje, dotyczące wyboru modelu artystycznego dla polskiej Estrady? Z grubsza biorąc — 3. Pierwszą złożył nie dający się właściwie powielać, niepowtarzalny w swym programie ekskluzywny Kabaret „Owca", będący właściwie próbą stworzenia czegoś w rodzaju „anty-estrady". Drugą propozycją jest program Estrady Łódzkiej, reprezentujący Estradę nieco tradycyjną tj. opartą głównie na tekście i wykonawcach, unikającą inscenizacyjnych udziwnień, a przez to łatwo trafiającą do masowego widza. Trzeciej wreszcie propozycji można dopatrzeć się w programie Estrady Rzeszowskiej, czy raczej w trzech kolejnych programach reprezentowanych przez tę ambitną Estradę na trzech kolejnych Festiwalach Olsztyńskich. Programy tej Estrady próbują eksperymentować, ostatni jednak program Rzeszowa („Piszę do ciebie"), starający się ukazać śmieszności współczesnego życia na wsi, nie dorównuje poprzednim. Toteż jednomyślny werdykt festiwalowego jury, przyznający dwie pierwsze równorzędne nagrody „Złotego Kormorana" Kabaretowi „Owca" i właśnie Estradzie Łódzkiej za program Kabaretu „Kpiarz" (i pieniężną nagrodę zespołową dla jego twórców: T. Sutta — dyr. i kier. artystycznego Estrady, M. Stefańskiego — inscenizatora i reżysera, J. Matuszewskiego — choreografa i J. Kondrackiego — scenografa) oprócz oceny wartościującej posiada jednocześnie, moim zdaniem, charakter postulujący Estradzie kierunek rozwojowy. Kierunkiem tym jest współczesność. Podejmowanie problematyki naszej współczesności we wszystkich jej przejawach społecznych i obyczajowych i czytelne przekazywanie jej masowemu widzowi. Ekskluzywny Kabaret „Owca" nagrodzono za niepowtarzalną świetność jego programu, Estradę Łódzką za to, że jej program, mimo pewnych usterek, reprezentował „estradę sprawną, służącą masowemu widzowi i dbającą o właściwy poziom artystyczny". Co, oczywiście, nie oznacza, że nie trzeba nam w Estradzie także programów eksperymentalnych, poszukujących nowych środków wyrazu artystycznego. Tyle, że nie one stanowią chleb powszedni dla masowego widza.

Być może niektórym recenzentom prasowym ostatniego Festiwalu Zespołów Estradowych w Olsztynie, widzącym podczas niego tylko „impas i bezradność" polskiej Estrady, moje uwagi wydadzą się za spokojne w swym krytycznym przecież tonie. Staram się w nich być przede wszystkim rzeczowy, bo jedynie rzeczowość może pomóc w przełamaniu owego „impasu", którego istnienie podkreśla zresztą werdykt festiwalowego jury. Dwie pierwsze nagrody dla Estrady Łódzkiej i Stołecznej, ani jedna druga i jeden „Brązowy Kormoran" dla Rzeszowa — są dobitną oceną stanu naszej krajowej Estrady. Sądzę jednak, że podobnie jak słabych aktorów estradowych w zespołach objazdowych nie uda się od razu zastąpić znakomitymi, bo nie ma ich w Polsce jeszcze aż tylu, a szkoły aktorskie kończą też nie same znakomitości — tak samo nie ustaną z miejsca kłopoty Estrad z tekstami estradowymi, elementem dla Estrad równie ważnym jak aktorstwo. Po prostu — jeśliby nawet pominąć sprawę niedostatecznych funduszów na te teksty — to również nie mamy aż tylu znakomitych autorów estradowych, wrażliwych przy tym nie tylko na śmieszności codziennego życia, ale także na pryncypialne problemy naszej współczesności, aby mogli oni co roku dla 16 Estrad w kraju napisać teksty do kilkudziesięciu znakomitych programów estradowych, bo tyle mniej więcej programów Estrady muszą co sezon stworzyć. Ostatecznie, nasze teatry też nie wystawiają co roku kilkudziesięciu nowych znakomitych współczesnych sztuk polskich, a Estrady są w położeniu o tyle gorszym, że zespoły objazdowe wielu z nich, objeżdżają nie tylko teren swojego województwa, lecz cały kraj, co uniemożliwia najczęściej stosowanie praktyki teatralnej, tj. wykonywania tych samych tekstów przez szereg Estrad. Wydaje mi się jednak, że pewnym zastrzykiem dla Estrady mogłoby tu stać się śmielsze tłumaczenie dobrych estradowych tekstów satyrycznych innych krajów (zarówno krajów demokracji ludowej, jak i innych), bo obecnie przyswajamy z zagranicy prawie wyłącznie piosenki. Przełamanie ogólnokrajowego „impasu" w Estradzie i dalszy jej rozwój zależy także od rozwiązania problemu niedostatku kadry reżyserów-estradowców i estradowców-kierowników literackich.

Wydaje się, że sukces Kabaretu „Kpiarz" na Festiwalu w Olsztynie nie jest przypadkowy. Sukces ten, jak i obserwacja przebiegu festiwalu utwierdzi zapewne Estradę Łódzką we właściwej polityce repertuarowej i kadrowej także wobec jej pozostałych zespołów objazdowych.

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje

NIEZWYKŁY TEATR

■ „Living Theatre" z Nowego Jorku jest doprawdy niezwykły. Jego zespół składający się z dwudziestu kilku osób opuścił Amerykę i wędrując po świecie daje przedstawienia, oryginalne i na wskroś awangardowe. Teatr posiada trzy samochody i jeżdżąc po Europie, w ciągu dziesięciu miesięcy przebył już dwadzieścia dziewięć tysięcy kilometrów. Swoje próby odbywa gdzie się da: w poczekalniach dworcowych i hallach hotelowych, na otwartej przestrzeni i, w przypadku szczęśliwych okoliczności, w pałacach, jak np. w zamku mecenasa sztuki Rocca Sinebalda we Włoszech, niedaleko Rzymu.

Historia tego teatru jest również bardzo interesująca. Aktorzy jeszcze będąc w Ameryce własnymi rękami wznieśli trzypiętrowy budynek, w którym dawali przedstawienia. Ale w 1963 roku ich teatr został zamknięty przez władze za nieuregulowanie podatków, których zespół nie mógł zapłacić. Aktorzy odmówili jednak opuszczenia swego teatralnego gmachu. Przez trzy dni kordon policji otaczał budynek. Nie zmuszono jednak głodem aktorów do opuszczenia ich teatru. Bo oto sąsiedni restaurator, z pomocą entuzjastów teatralnego zespołu, zorganizował skuteczną pomoc. Użyto sznurów i wiader, aby dostarczać obrońcom gmachu pożywienia. Policja wreszcie odeszła, ale wejścia do teatru nie zostały odpieczętowane. Wówczas to publiczność po drabinach, przez okna dostawała się do teatralnej sali i przedstawienia odbywały się normalnie.

Wreszcie zespół teatralny, znużony walką o utrzymanie swego budynku, postanowił wyjechać z Ameryki i dawać przedstawienia na innym kontynencie. Obecnie w Europie, gdzie się ów teatr pojawi cieszy się znaczną popularnością. Ma swoich zagorzałych entuzjastów choć ma również i swych przeciwników. Ostatnio „Living Theatre", gra „Doktora Frankensteina" w interpretacji jak najbardziej nowatorskiej, w stylu nowoczesnego realizmu, tzw. „new-look". W interpretacji tej nic nie przypomina tradycyjnych kanonów teatru, jedynie chyba wzrastające napięcie dramatyczne w ciągu przedstawienia. To co można by nazwać akcją sztuki, ilustrowaną baletem, rozgrywa się nie tylko na scenie, lecz jednocześnie jakby w trzech wymiarach. Ze sceny, z widowni, ze specjalnie wzniesionego rusztowania dobiegają do widza strzępki zdań, okrzyki grozy, których epilogiem jest wstrząsający monolog kogoś opowiadającego swą tragiczną historię. Przypominają się koncepcje Antonina Artauda, poety, aktora i teoretyka teatru, surrealisty, który zalecał teatrowi oderwanie się od literackich tekstów, poszukiwanie środków artystycznych pozwalających na jak najsilniejsze oddziaływanie na widza. Myślą przewodnią „Frankensteina" w interpretacji „new-look" jest dola człowieka starającego się na próżno o polepszenie swego losu przez tworzenie monstrualnych istot, które potem go niszczą, lub które on powinien zniszczyć. Jest to błędne koło, w którym rozum i szaleństwo współdziałają z sobą dla stworzenia świata pełnego okrucieństwa, zaczarowanego kręgu, z którego nie ma wyjścia.

NABOKOV I MOTYLE

■ Włodzimierz Nabokov urodził się w roku 1899 w Sankt-Petersburgu. Jest pisarzem, który tworzy w języku rosyjskim, francuskim i angielskim. W roku 1955 wydał powieść pt. „Lolita", dzięki której uzyskał światowy rozgłos. Nabokov oprócz wierszy, powieści, wspomnień, opowiadań publikuje od lat rozprawy naukowe o motylach. Obecnie pisarz przebywa w Montreux, w zachodniej części Szwajcarii nad Jeziorem Genewskim. Pracuje nad książką o europejskich motylach. Wkrótce Nabokov wyjedzie do Londynu, aby w muzeach brytyjskich zebrać dodatkowy materiał naukowy.

Czy dawno zajmuje się pan tymi owadami — spytali dziennikarze. „Miałem lat jedenaście, dwanaście kiedy napisałem pierwszy artykuł o motylach. Po angielsku. Wysłałem go do Londynu, ale mi go nie wydrukowano... na szczęście" — mówi pisarz.

Dziennikarze pytają Nabokova w jaki sposób pisze powieść? Czy punktem wyjścia jest bohater, jego osobowość i charakter, a dopiero później pisarz konstruuje akcję, czy też najpierw obmyśla fabułę? „Ani jedno, ani drugie" — od

powiada Nabokov. Tłumaczy, że punktem wyjścia, inspiracją są dla niego barwy, obrazy, wizje. Nigdy nie zaczyna powieści od jej początku, nie kończy wtedy gdy wypada zakończenie, nigdy nie prowadzi akcji w jej porządku chronologicznym. Zaczyna w dowolnym punkcie, następnie pisze dalej poszczególne, oddzielne i niepowiązane ze sobą sceny, a dopiero przy końcu pracy nad książką wypełnia wszelkie powstałe przez to luki.

„Dlaczego pan pisze?" zadają mu niezbyt inteligentne pytanie dziennikarze. „Z wewnętrznej potrzeby i konieczności" — odpowiada Nabokov. „Zawsze pisałem, tak jak zawsze interesowałem się motylami".

„A gdyby pan musiał wybrać między pańskimi zainteresowaniami naukowymi i literackimi, które by pan wybrał?" „Te dwa rodzaje zainteresowań są dla mnie nierozłączne, wzajemnie się uzupełniają, nie do pomyślenia jest dla mnie, aby można je było rozdzielić".

„ZEMDLONY KOŃ" — NOWA SZTUKA SAGANKI

■ „Le cheval évanoui" (Zemdlony koń) według zgodnego zdania krytyków jest jak dotąd najlepszą sztuką Françoise Sagan.

Akcja rozgrywa się w starym szkockim zamku. Jego właściciel jest człowiekiem niemłodym, który, jak jest o tym przekonany, niczego już nie pragnie i niczego od życia nie oczekuje. Sytuacja zmienia się jednak. Do zamku przyjeżdża córka właściciela ze swym narzeczonym. Jak się później okaże jest on zainteresowany nie tyle panną ile jej majątkiem. Wkrótce do zamku przybywa jeszcze jedna osoba — młoda i piękna Karolina będąca podobno kuzynką narzeczonego. W istocie jest to jego kochanka od wielu lat. To właśnie dla niej ów narzeczony chce przez bogaty ożenek zdobyć pieniądze. Cała historia komplikuje się niebywale, gdyż w Karolinie zakochuje się sam właściciel zamku.

Premiera spotkała się z owacjami publiczności. Ponieważ sztuka „Le cheval évanoui" jest dość krótka, w ramach tego samego przedstawienia wystawiana jest druga krótka sztuka tej samej autorki pt. „L'écharde" (Drzazga), ciesząca się jednak znacznie mniejszym uznaniem zarówno publiczności jak i krytyki.

OPERA I GOBELIN

■ Na tegorocznym biennale w Wenecji dużym zainteresowaniem cieszyły się m. in. gobeliny wykonane przez węgierskich artystów. Zwłaszcza gobelin zatytułowany „Pietia i wołk", (Piotruś i wilk), którego twórca jest Gabriel Chajnał, cieszył się specjalnym zainteresowaniem. Inspiracja dzieła jest znana opera Siergieja Prokofiewa pod takim samym tytułem. Tkanina ma rozmiar siedmiu metrów kwadratowych.

BALET BEJARTA

■ Ostatnio niezwykłym powodzeniem cieszą się we Francji, Belgii i Szwajcarii występy baletu Béjarta. Charakterystyczne, że jeszcze kilka lat temu Paryż nie był przychylnie usposobiony do tego baletu. Wówczas Béjart wyjechał na występy do Belgii i tam dopiero zyskał uznanie. Dziś i Paryż zachwyca się Béjartem. Krytyka podkreśla indywidualny styl tego baletu, jego niesłychaną lekkość, jakby ciała tancerzy nie miały wagi i nie podlegały prawom ciążenia. „Journal de Genéve" nie szczędzi najwyższych pochwał, traktując występy baletu jako prawdziwą rewelację. Pisma francuskie również piszą o balecie Béjarta z zachwytem. On zaś sam pragnie wykazać słuszność swej tezy, że taniec jest ściślej związany z muzyką niż plastyką i że każdy utwór muzyczny można wyrazić przez taniec. Stąd niesłychanie różnorodny jest repertuar występów baletu Béjarta, zawierający interpretacje zarówno muzyki klasycznej jak i nowoczesnej. Po raz pierwszy w dziejach choreografii balet Maurice Béjarta interpretuje IX Symfonię Beethovena, jako wyraz walki o pokój, przyjaźni między narodami i równości ras.

Maurice Béjart i Laura Proenca

ZMARŁ WYBITNY AKTOR RADZIECKI

■ W połowie września zmarł w Leningradzie w wieku lat 63 znany aktor radziecki Mikołaj Konstantynowicz Czerkasow. Urodził się w czerwcu 1903 roku w rodzinie kolejarza. Mając muzykalną matkę od dziecka lubił muzykę, a nuty znał nim jeszcze opanował ortografię. Gdy był uczniem widział na scenie Szaljapina i odtąd postanowił obrać karierę sceniczną. Jakiś czas Czerkasow pracuje w charakterze statysty przy Szaljapinie. Od czasu swego wystąpienia po raz pierwszy na scenie w 1926 roku w leningradzkim Teatrze Młodych Widzów, Mikołaj Czerkasow bywał aktorem, śpiewakiem i tancerzem. Świecił triumfy zwłaszcza w roli Don Kichota w balecie. Występował jako aktor filmowy w „Aleksandrze Newskim" i „Iwanie Groźnym". Wyróżniony był Orderem Lenina i Orderem Czerwonego Sztandaru.

Mikołaj Czerkasow w roli Iwana Groźnego

POLONICA

O LITERATURZE POLSKIEJ W AUSTRIACKICH PODRĘCZNIKACH

Obowiązujący w austriackich szkołach średnich podręcznik „Die Oesterreichische Dichtung im Rahmen der Weltliteratur", opracowany przez dr Wernera Tschulika, w rozdziałach poświęconych literaturze powszechnej obok informacji poświęconych innym literaturom słowiańskim jak rosyjska i czeska przynosi też krótkie omówienia twórczości niektórych pisarzy polskich. Dotyczy to zwłaszcza dwu okresów: romantyzmu i modernizmu, omawianych w rozdziałach: „Romantyzm u narodów słowiańskich" i „Twórczość naturalistyczna w Czechosłowacji i Polsce". W pierwszym z wymienionych rozdziałów autor wymienia trójcę wielkich romantyków polskich: Adama Mickiewicza, Juliusza Słowackiego i Zygmunta Krasińskiego. Z dzieł twórcy „Dziadów" Tschulik wymienia i krótkim komentarzem zaopatruje „Konrada Wallenroda" i „Pana Tadeusza", akcentując przede wszystkim patriotyczną wymowę tych utworów. Do najdojrzalszych dramatów Słowackiego austriacki historyk literatury zalicza: „Mazepę" i „Marię Stuart", szczególnie wysoko zaś ceni Zygmunta Krasińskiego „Nieboska komedię" i „Irydiona".

Mówiąc o naturaliźmie i literaturze przełomu XIX i XX wieku Tschulik wymienia polskiego laureata Nobla — Wł. Reymonta z jego „Chłopami" i „Ziemia obiecana" oraz St. Przybyszewskiego z „Homo sapiens".

Ponadto austriacki podręcznik kilkanaście zdań poświęca Henrykowi Sienkiewiczowi, wymieniając m. in. „Krzyżaków", „Quo vadis?" i „Rodzinę Połanieckich".

Oczywiście podręcznik ustosunkowuje się też do twórczości T. Rittnera, który w Austrii traktowany jest prawie za rodzimego twórcę.

Z pewnością dość skromne notatki mogłyby być obszerniejsze, wielu innych pisarzy polskich mogłoby także znaleźć się na tej liście. Niemniej sam fakt, że w szkołach austriackich mówi się o literaturze polskiej budzi zadowolenie. ER

„TABU" J. BOCHEŃSKIEGO PO NIEMIECKU

Nakładem Hanser Verlag w Monachium wydano książkę Jacka Bocheńskiego „Tabu" w przekładzie Janusza von Pileckiego. W dwutygodniku „Die Welt der Literatur" (z 15 września br.) Valentin Polcuch ogłasza recenzję z tej książki, w której stwierdza między innymi: „Jacek Bocheński napisał interesującą książkę, Janusz von Pilecki wiernie ją przetłumaczył (chociaż tu i ówdzie przy użyciu skostniałych zwrotów retorycznych). Jednakże tego, co interesujące, nie zawdzięczamy konstrukcji fabularnej, lecz tym miejscom, w których autor identyfikuje się ze spowiadającą się Dolores, gdzie z monologu wydobywa się pramonolog". W konkluzji swej recenzji Polcuch zauważa, że bardziej od samego tekstu ciekawe jest jego pochodzenie i jego źródła, ale to nie należy do rozważań literackich krytyka.

POLONICA

Notatnik KULTURALNY

NIEDZIELA

Rozpoczyna się Tydzień Ochrony Przyrody, który w Łodzi zbiega się z czterdziestoleciem powstania Towarzystwa Przyrodniczego im. St. Staszica — dziś Ligi Ochrony Przyrody. Na przestrzeni swego istnienia jubilat położył wiele zasług w dziele ochrony zielonych terenów miasta i ich powiększania. M. in. Towarzystwo przyczyniło się do ocalenia skrawka rezerwatu zieleni przy ul. Konstantynowskiej, wielu drzew w Parku Julianowskim czy Źródliska.

Dziś Łodzi przybywa stale terenów zielonych — parków, skwerów, kwietników, ale zadania ochrony przyrody mimo to, a może właśnie dlatego, są stale aktualne. Wymownym tego dowodem są druty otaczające trawniki i kwietniki oraz gęsto rozmieszczane napisy w stylu „Szanuj zieleń", a także „pokłosie" świąteczno-niedzielnych wycieczek na łono natury, zamieniających podłódzkie lasy w śmietniki. A tak na marginesie, to Liga Ochrony Przyrody powinna jeszcze zająć się Ochroną Człowieka, Który Chce Wypoczywać w Ciszy. A znajduje muzykę mechaniczną, pieśni masowe z akompaniamentem butelki i różne inne hałasy.

PONIEDZIAŁEK

Zgodnie z naszymi przeczuciami kabaret Estrady Łódzkiej „Kpiarz" otrzymał na festiwalu opolskim I nagrodę — Złotego Kormorana ex aequo z warszawskim rewelacyjnym kabaretem „Owca". W ten sposób Olsztyn przyczynił się pośrednio do realizacji tego, co postulowaliśmy w jednym z poprzednich numerów „Odgłosów" — do udostępnienia „Kpiarza" mieszkańcom Łodzi. Prawdopodobnie już w końcu tego miesiąca „Kpiarz" rozpocznie występy (w soboty i niedziele) w kawiarni „Grand". Resztę dni poświęci — jak zawsze zresztą dotychczas — na wyjazdy w teren naszego i kieleckiego województwa, a także do innych województw — zaproszony po sukcesie olsztyńskim. W Łodzi „Kpiarz" pokazywać będzie na razie swój, nieznany tu jeszcze, program „Kontrasty", a a wkrótce zabiera się do opracowania nowego. Miejmy nadzieję, że kabaret ten przełamie złe tradycje swoich poprzedników-efemeryd.

WTOREK

Coś z niedalekiej przeszłości: na stoiskach nowości wydawniczych, zorganizowanych z okazji „Warszawskiej Jesieni" znaleźliśmy „Liryki do tekstów Safony" łódzkiego kompozytora Andrzeja Hundziaka. Drogą skojarzeń przypomnieliśmy sobie, że w 1963 r. odbył się I Festiwal Twórczości Kompozytorów Łódzkich, a podczas otwarcia dowiedzieliśmy się, że przeglądy takie będą się odbywać co dwa lata. Z czego wynika, że drugi powinien mieć miejsce w roku ubiegłym. Tym czasem żadne znaki nie wskazują, żeby się taki festiwal zapowiadał. A przecież pierwszy pokazał sporo interesujących pozycji, dobrze ocenionych przez krytyków muzycznych. Środowisko kompozytorskie nie zmniejszyło się od tego czasu, raczej powiększyło, w bieżącym roku na przykład studia WSM ukończył na wydziale kompozycji Jerzy Bauer, podobno posiadający już dorobek, którym mógłby się pochwalić. Może więc warto by ideę przeglądów twórczości łódzkich kompozytorów odgrzebać z zapomnienia?

ŚRODA

Rozpoczynają się doroczne Dni Książki i Prasy Technicznej. W tym roku szczególnie uroczyście obchodzone z okazji Kongresu Kultury, 400-letniej tradycji wydawnictw technicznych w Polsce i 100-lecia „Przeglądu Technicznego". W Łodzi Dniom towarzyszy szereg imprez i wystaw z centralną wystawą w Domu Technika i ciekawą ekspozycją biblioteki NOT, która zaprezentowała wydawnictwa NOT-u, jakich nie ma w zwykłej sprzedaży: materiały z konferencji krajowych i międzynarodowych, katalogi itd. Planuje się zorganizowanie 100 kiermaszy wydawnictw technicznych w zakładach pracy, wystawę sprzętu modelarskiego, spotkania, odczyty, prelekcje filmowe i in.

CZWARTEK

Zakończona została renowacja XVIII-wiecznego dworku przy ul. Rzgowskiej 247, jednego z najstarszych zabytków architektonicznych w naszym mieście. Dworek wymagał kapitalnego remontu, ponieważ prywatni lokatorzy, którzy go zamieszkiwali, na swoją rękę poczynili „unowocześniające" przeróbki. Obecnie znajdzie tu pomieszczenie rejonowa biblioteka, która niewątpliwie będzie dobrym użytkownikiem zabytku. Z użytkownikami, jak wiadomo, różnie bywa. Obecnie przygotowuje się do remontu dawny pałacyk Scheiblerów przy Pl. Zwycięstwa — siedzibę Państwowej Szkoły Muzycznej, która jest podobno bardzo dobrym i troskliwym gospodarzem, dbającym o powierzone mienie. W chwili obecnej trwa remont dwóch pałacyków: przy Moniuszki 6/8 i Moniuszki 7/9, mających dobrych użytkowników — Izbę Rzemieślniczą i Poradnię Przeciwgruźliczą. Gorszy los spotkał pałac przy ul. Przędzalnianej 72, służący czterem gospodarzom i dewastowany bez litości.

PIĄTEK

Choć notatnik ten ukaże się w chwili, gdy komentowane już będą i omawiane wyniki trzydniowych obrad Kongresu Kultury, nie sposób przecież nie odnotować dnia jego rozpoczęcia, uroczystej atmosfery tego święta, które stało się świętem nie tylko 2 tysięcy delegatów i śledzących przebieg obrad pracowników kultury i nauki w całym kraju, ale świętem całego narodu, które znalazło tak poważny oddźwięk wśród Polonii zagranicznej. W chwili gdy ten numer „Odgłosów" trafi do rąk czytelników, delegaci łódzcy, po powrocie z Kongresu, dzielić się będą z nami swymi wrażeniami. A na pewno będzie ich wiele.

SOBOTA

Choć skończyło się lato, problemy nagości w różnych postaciach wciąż absorbują ludzi na całym świecie. W jednym ze szpitali angielskich zabroniono pielęgniarkom noszenia stroju bikini, w którym dotychczas swobodnie przechadzały się po szpitalu w godzinach wolnych od pracy. Lekarze stwierdzili, że wywołuje to wzrost ciśnienia krwi u pacjentów. W USA, w stanie Kentucky sąd zajął się odświeżeniem definicji nudyzmu. Za nudystę uznano obecnie każdego, kto obnaża się przed osobą płci przeciwnej, nie będącą ani mężem, ani żoną, choćby nawet tłumaczył się względami religijnymi czy zdrowotnymi. U nas na tym odcinku żadnych nowości. Możemy tylko donieść o strip-teasie w Operetce i to po pierwszym przedstawieniu — zaziębionym. Nie wiadomo czy z powodu zbyt chłodnej widowni, czy dobrej wentylacji sceny.

T. Woj.

WANDA KARCZEWSKA

JERZEGO WALCZAKA „Czarownice z Salem"

Zapewne, kiedy człowiek po raz pierwszy w historii był fałszywie oskarżony i pochwycony przez publiczną machinę rzekomej sprawiedliwości, torturami, zmuszony do przyznania się do win nie popełnionych i do składania zeznań obciążających jego bliźnich, zapewne człowiek ten był zaskoczony, zdziwiony, oburzony i przerażony. I zapewne nie byłoby powodu do napisania „Czarownic z Salem" i do wystawienia tej sztuki, gdyby podobne fakty nie zdarzały się w dziejach. Fakty stały się powtarzalne w miejscu i w czasie, temat: antynomia władzy i wolności jednostki zuniwersalizował się, każąc nam, ludziom dwudziestego wieku, patrzeć na nie bez naiwnego zdziwienia, zaskoczenia, raczej z gorzką świadomością na uprawiany proceder przekraczania zakresu władzy i gwałcenia praw jednostki. I autor dzisiejszy grający rolę Johna Proctora w „Czarownicach z Salem", oczywiście, prócz pewnej dozy świeżości uczuć warunkującej napięcie dramatyczne spektaklu, winien zawrzeć w swojej roli tę gorzką wiedzę naszego wieku.

Warszawski Teatr Dramatyczny obsadzając kiedyś rolę Johna Proctora tak dojrzałym aktorsko i myślowo artystą, jakim jest Jan Świderski, zdawał sobie sprawę z obowiązków ciążących na odtwórcy tej postaci. Tej właśnie dojrzałości aktorskiej i dojrzałości myślenia, tej zawartej w tonacji gry, tej widocznej wiedzy o sposobach działania mechanizmów społecznych zagrażających istnieniu Johnów Proctorów, zabrakło łódzkiemu odtwórcy tej roli, Bogusławowi Antczakowi. Młody zarówno wiekiem jak i stażem scenicznym, aktor ten ma wiele zalet, dużo prostoty, liryzmu i naiwnej szczerości, cech przydatnych do grywanych przez niego ról: pastuszka zakochanego w królestwie z „Nagiego króla" Eugeniusza Szwarca czy Żołnierza, narzeczonego Gruszy z „Kaukaskiego Kredowego Koła" Brechta. Ale John Proctor Artura Millera nie jest naiwnym prostaczkiem. Miller pisze o prototypie tej postaci: „Proctor był człowiekiem o szerokim umyśle. Był jednym z nielicznych, którzy w imię rozsądku odrzucali oskarżenia o utrzymywanie stosunków ze złymi duchami, widząc w tym wyssaną z palca plotkę i podstępnie uknutą intrygę". John Proctor ponadto, grany dzisiaj właśnie, nie może być mniej świadomy cech działania mechanizmów prawnych miażdżących podobne jemu jednostki, niż jest tego świadomy współczesny widz. Swą rolę Proctora Antczak potraktował antyintelektualnie, czysto emocjonalnie, ale i w tej interpretacji napotkał na przeszkody własne. Matowy, schrypnięty, jednotonalny, przez to martwy głos i mało wyrazista, prawie jeszcze chłopięca twarz, w której grają tylko oczy, przeszkodziły wydobyć mu wszystkie podteksty uczuciowe roli.

Podobna, antyintelektualna koncepcja roli i stylu gry cechuje (ale już z większymi konsekwencjami dla sensu sztuki) Sławomira Misiurewicza, grającego rolę pastora Samuela Parrisa. Można sobie w tym miejscu zadać pytanie, jak to się dzieje, że w tyle lat po odejściu od tzw. sztuk produkcyjnych i związanego z tym repertuarem schematycznego rysowania negatywnych postaci scenicznych (np. jak kulak to bruzchaty i zezowaty) Samuel Parris wychodzi na scenę jako księżulo-pasibrzuszek z łysinką, odrażająco sepleniący, podkreślając z widocznym natręctwem chciwość, przebiegłą chytrość, z jaką zamierza „tropić diabła" w opornym mu Salem. Mimo chcąc (a może chcąc?) wydobywa się w ten sposób pospolite publicystyczne akcenty antyklerykalne, socjologizuje się po trosze, podczas gdy, jak mi się wydaje, słuszniej byłoby ukryć osobiste pobudki działania Parrisa pod szyldem gorliwości religijnej, więc bardziej podkreślić i wydobyć akcenty fanatyzmu. Miller pisał sztukę przeciw wszelkim fanatyzmom, pobudką była przecież nadgorliwość polityczna maccarthystów, a nie sztukę pamflet przeciw kościołowi protestanckiemu, nie dramat społeczno-obyczajowy. Przy tej obsadzie i koncepcji ról łódzkie „Czarownice z Salem" zatracają walor sztuki uniwersalnej.

Trudną i odpowiedzialną rolę Abigail, motoru całego dramatu w „Salem", powierzono zdolnej i pełnej uroku, ale surowej jeszcze aktorsko, młodziutkiej Joannie Jędryce. Aktorka ta o urodzie nowoczesnej dziewczyny, zagrała niedawno z powodzeniem tzw. własnymi warunkami rolę naiwnej Honey w sztuce Albee'go „Kto się boi Wirginii Woolf", potem z dużym wdziękiem partnerowała dojrzałym aktorom Teatru im. Jaracza na jego drugiej scenie, „7.15", w wodewilu „Taka noc nie powtórzy się więcej", demonstrując swoje umiejętności wokalno-taneczne. Jako Abigail jest Jędryka dobrze prowadzona reżysersko w działaniach fizycznych, w ruchu, w plastyce gestu, ale jest ujęta nieco powierzchownie. Nie ma w tej roli dwugry, trudno dopatrzyć się pod pozorną twarzą Abigail, pokazywaną otoczeniu, owej głębokiej (zaciekle urażonej) namiętności do Johna Proctora, która ją popycha do zbrodniczych pragnień, oskarżeń i w rezultacie prowadzi do tragicznego procesu i zniszczenia Salem. Aktorce zabrakło potrzebnej tu szerszej skali środków aktorskich, może zawiodła w ogóle koncepcja postaci, Jędryka była raczej współczesną, zimnawą zmysłowo lolitką, która nie dostawszy chłopaka, z którym się raz przespała, postanawia mu robić na złość. To nie to. Dlatego ta Abigail jest mało sugestywna i stąd wiele scen wypadło dramatycznie niewiarygodnie, jak np. scena sądowa konfrontacji Mary Warren z grupą dziewcząt pod wodzą Abigail.

Te zasadnicze trzy mankamenty obsadowe każą zastanowić się, czy Teatr im. Jaracza, a z nim reżyser Walczak, istotnie nie płaci artystycznego haraczu za nałożony obowiązek prowadzenia drugiej sceny, „7.15", jak utrzymują niektórzy zainteresowani życiem teatralnym Łodzi. Ale nie, chyba nie, należy przypuszczać, że w danym wypadku chodziło dyrekcji zapewne o danie możliwości wygrania się młodym aktorom (Jędryka, Antczak), w tejże bowiem obsadzie „Czarownic z Salem" można dostrzec ewentualnie innych kandydatów na rolę Johna Proctora.

Jeżeli z tym wszystkim spektakl Jerzego Walczaka nie jest nieudany i ma wiele scen czystych aktorsko, wytrzymanych w dramatycznym napięciu, zasługa to uczciwej reżyserii z materiałem aktorskim takim, jaki mu dano, dobrego tempa przedstawienia i paru rzetelnych ról. Z głębokim zrozumieniem sytuacji dramatycznej i znaczenia konfliktów zawartych w „Czarownicach z Salem" zagrała rolę Mary Warren Alicja Krawczykówna. Jest to obok epizodu Rebeki Nurse (Leokadia Pilarska) jedna z najlepiej prowadzonych i granych ról w tym spektaklu. Krawczykówna wyposażyła postać Mary w złożoność sprzecznych, skomplikowanych uczuć, dając prawdziwy psychologicznie, czysty i pełny artystycznie obraz człowieka, któremu osamotnienie w groźnej sytuacji, świadomość własnej bezsilności i siły perfidnego przeciwnika, a zarazem obłąkany strach przed śmiercią każe, wbrew własnemu sumieniu i za cenę uświadamianego sobie upadku moralnego, każe przejść na stronę fałszywych, zbrodniczych oskarżycielek. To bardzo dobra, czysta robota aktorska.

Barbara Jakliczowa, jako Elizabeth, w początkowych scenach może za mało zdecydowana w rysunku postaci, w swojej purytańskiej surowości, ma potem kilka pięknych, trudnych do zapomnienia scen, szczególnie w sądzie, kiedy jej nieruchoma, a jakże pełna wyrazu twarz promieniuje wewnętrznym światłem i wiarą w słuszność postawy Johna. Dramatyczne napięcie i żarliwa fanatyczna wiara w najciemniejszy zabobon religijny, z jaką Jerzy Walczak zobiektywizował historycznie postać pastora Hale pozwoliły mu, jako reżyserowi, przesunąć akcenty w spektaklu ku sprawom moralnym i uniwersalnym założeniom sztuki. Stało się oczywiste i tak winno być od początku sztuki, że takie czy inne osobiste cechy personae dramatis, to sprawy raczej marginalne; kluczową sprawą jest fanatyzm. On jest celem ataku Artura Millera. To właśnie fanatyzm, który podporządkował sobie system rządzenia i system sprawiedliwości, godzi w podstawowe cechy bytu człowieka, w jego wolność. W podobnej tonacji, co gra pastora Hale, utrzymany jest dobry epizod Józefa Zbiroga — Ezekiel Cheevera.

Scenografia Henri Poulaina współtworzy duszny i ciężki klimat sztuki, której premiera, szkoda że nie stała się wydarzeniem artystycznym, jakim być mogła.

Teatr im. Jaracza, Artur Miller „Czarownice z Salem", reż. Jerzy Walczak, scenografia Henri Poulain. Przekład sztuki: Wacława Komarnicka i Krystyna Tarnowska.

KRONIKA Antytelewizyjna

FILM I PIOSENKA

W moim przekonaniu był to jeden z bardziej urozmaiconych tygodni w TV, aczkolwiek w programie mieliśmy tylko jedno przedstawienie. Była to „Odprawa posłów greckich" Jana Kochanowskiego, napisana na... „zamówienie społeczne", w tym wypadku na ślub podkanclerzego Zamojskiego z Krystyną Radziwiłłówną. Rzecz wynikająca z mądrej troski obywatelskiej zawiera myśli do dziś aktualne. Pomysłowa inscenizacja sprawiła, że obcowaliśmy z utworem żywym, nie zaś z szacownym zabytkiem piśmiennictwa narodowego. Gdybyż tak jeszcze lepiej wypowiadano tekst!

A jednak tydzień należał do teatru! Sprawił to m. in. znakomity film dokumentalny Ludwika Perskiego i Stefana Treugutta „Godzina teatru", poświęcony aktorom z przeszłości i wydarzeniom teatralnym, rozpoczynającym dzieje polskiego teatru współczesnego. Film nasuwa dwie refleksje, zresztą nie spokrewnione ze sobą: jak ubogo przedstawia się dokumentacja w tej dziedzinie i jak bardzo możemy być zadowoleni z naszych aktorów. Znacznie łatwiej widzieć wielkość w przeszłości, trudniej zauważać ją w teraźniejszości. „Godzina teatru" umożliwiła nam dokonanie ważnej konstatacji: nadal możemy się cieszyć znakomitymi aktorami, świetną sztuką teatru!

Jeszcze jedno potwierdzenie tego znaleźliśmy w filmie Jerzego Antczaka (reżyseria) i Zdzisława Skowrońskiego (scenariusz) pt. „Mistrz". Wystarczy w tym wypadku wymienić tytułową kreację Janusza Warneckiego. Film celnie podejmuje tematykę okupacyjną, pogłębia ją odbiegając od naturalistycznych ujęć, jest też niejako dyskusją na temat praw reżysera i praw aktora, na temat możliwości interpretacyjnych dostarczanych przez tekst.

Jeśli jeszcze weźmie się pod uwagę, że wyświetlono „Popiół i diament" oraz „Pasażerkę" Munka — to wypadnie bez wahania stwierdzić, iż udało się nam telekino.

Ale nie tylko teatr i telekino! Bo przecież nie można nie odnotować piosenek Jerzego Jurandota i spotkania z kabaretem „Szpak".

Więc co do wieczoru Jurandota: wiersz i autentyczna piosenka nie starzeją się bez względu na aktualną konwencję i aktualną modę. Jednako przyjmowało się przedwojenne i nowsze piosenki Jurandota. Byliśmy przy tym świadkami tego, co nieczęste czyli dobrej, trafnej inscenizacji. Bezpretensjonalnej i może dzięki temu uzyskującej właściwy efekt. Szczególnie szczęśliwie wypadła Kalina Jędrusik, wykonująca piosenkę „Jak ty nic nie rozumiesz".

Zaprezentowano prawie same przeboje, w których ileż szlagwortów, powiedzonek i narzucających się zwrotów, tak łatwo dających się zapamiętać, inicjujących nastrój.

Kolejny rozrywkowy konkurs miast obył się tym razem bez jurorów. Być może, sami jego inicjatorzy odczuli pewien niedosyt, jaki ta impreza za każdym razem wywoływała, przeto odebrano jej zbyt pompatyczną oprawę.

Uznanie moje kieruję pod adresem Katowic, które na tle „Mikołaja Doświadczyńskiego Przypadków" (znakomita kreacja tytułowa) przypomniały satyrę pisarzy Oświecenia. Drugie miejsce gotów jestem przyznać Krakowowi, który zaprosił nas do Jamy Michalikowej. Wyróżniłbym monolog „Uwiędzionej" ze względu na wykonanie i wygląd w „stylu epoki". Niestety, podano jedynie nazwiska wykonawców, nie wiążąc ich z tekstami. Nie udał się Gałczyński w przekazie wrocławskim. Myślę, że Gałczyński wypadłby wyjątkowo dobrze w wykonaniu zespołu Kabaretu Starszych Panów, których rodowodu można szukać właśnie w twórczości tego poety. Proszę to potraktować jako uzasadnienie niepochlebnej oceny spektaklu wrocławskiego.

Gorzej było z niedzielnym wieczorem ze względów natury organizacyjnej. Przydałby się w TV, jeśli nie chronometr, to przynajmniej zegarek. Nie obliczono nawet w dopuszczalnym przybliżeniu czasu trwania montażu poetyckiego „Ojczyzna", musiano gwałtownie przerwać teleturniej, bo jak gdyby zapomniano o tym, że transmisja z zakończenia obrad Kongresu Kultury Polskiej wymaga pewnej rezerwy czasowej. Nadal też będziemy czekać na film „Jego wielka miłość" ze Stefanem Jaraczem.

Jan Huszczi

P.S. Nie lubię prostować błędów drukarskich, ale tym razem chciałbym zauważyć, iż w poprzednim felietonie w związku z uwagami o „Dziwnym pasażerze" Tymoteusza Karpowicza, chodzi o odzyskiwanie przeszłości, nie zaś przyszłości. Jedna literka, a jaka różnica. Na wszelki wypadek powtarzam: jedna literka — nie „jeden literek"!

J. H.

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Wojna i poezja — tak w największym skrócie określić by można film „TOMASZ OSZUST". Ukształtowały go dwie wielkie indywidualności artystyczne: Jeana Cocteau i Georgesa Franju. „Tomasz oszust" jest adaptacją powieści Cocteau, który był również współautorem scenariusza. Cocteau nie dożył zrealizowania go na ekranie, zdjęcia rozpoczęto już po jego śmierci. Film ukończony został ostatecznie w roku 1964.

„Tomasz oszust" na tle tego, co współcześnie ogląda się na ekranach, jest pozycją zdumiewającą. Jest zupełnie inny. Do tego stopnia przywykliśmy już do filmów, których stosunek do rzeczywistości jest ultrarealistyczny (mówi się często o tzw. „małym realizmie"), że skłonni jesteśmy w ślad za wieloma teoretykami i krytykami traktować film jako zjawisko realistyczne w swej istocie. Tymczasem sprawa wcale nie jest taka prosta. Bo chociaż naturę fotografii stanowi to, że odbija ona wiernie rzeczywistość, film może kształtować odrealniony obraz tej rzeczywistości poprzez montaż, sposób widzenia kamery, poprzez samo zestawienie fotografowanych przedmiotów i sposób ich potraktowania, a wreszcie — poprzez warstwę słowną. W ten właśnie sposób, przy użyciu wszystkich tych środków, odrealniona została rzeczywistość w „Tomaszu oszuście".

Pierwsza wojna światowa. Paryż pustoszeje przerażony inwazją niemiecką. Niektórzy pozostają jednak. Księżna de Bormes nie ucieka. Organizuje prywatny konwój dla ewakuacji rannych. Przyjmuje do pomocy młodego chłopca, który podaje się za bratanka sławnego generała. Nazwisko Fontenoy otwiera wszędzie drzwi chłopcu. W ten sposób wkracza w wojnę dwoje „dzieci": rozkapryszona, traktująca życie jak scenę dla swojego aktorstwa kobieta i 16-letni podrostek, który w wojnie szuka swojej wielkiej przygody, dla którego marzenia i rzeczywistość stapiają się w jedno. Jest jeszcze trzecie dziecko: śliczna, świeża, młodziutka Henriette — córka księżny. Każde z nich delikatne jest na swój sposób, każde do tego stopnia nie rozumie wojny, odgrodzone jest od niej poprzez swą subtelność, poprzez swój świat wewnętrzny, że ludzie ci zaskoczeni historią, wtłoczeni przez nią na siłę w scenerię wojenną brutalną i okrutną, tworzą wraz z nią zjawisko przypominające raczej sen niż rzeczywistość. Świat sobie, a oni sobie, nie tknięci wewnętrznie przez to, co się dzieje dokoła. Stać ich najwyżej na bezgraniczne zdumienie wobec zaskakującej sceny (księżna w czasie bombardowania). Są tak bardzo obcy rzeczywistości wojennej, że jej prawdziwe, twarde, okrutne oblicze prawie nie dociera do nich. Księżna z córką zwiedzają okopy tak, jak się zwiedza np. groty skalne. Kiedy Tomasz czołgając się pod ogniem artyleryjskim natrafia na trupa, przykłada nagle ucho do zegarka na jego ręce: idzie czy nie idzie? Ta scena najlepiej chyba odsłania w swej przejrzystości i sile charakter filmu Franju. Poetyckie zderzenie piękna i okrucieństwa. Dwa przeciwległe bieguny współczesnej cywilizacji będące nagle obok siebie: wyrafinowana kultura, wdzięk, elegancja, finezja, wspaniała muzyka, postacie jak wyjęte ze starych portretów mistrzowskich pędzli, piękne stroje, obrazy, piękne marzenia, idee (miłość Henrietty — cudownie świeża, wzruszająca, liryczna), a nade wszystko piękne dusze, a obok — wojna, bombardowania, pożogi, śmierć, gangrena, ginące dzieci i kobiety, kikuty urwanych rąk, konie z zapalonymi grzywami... Owoce tego, co twórcze, co dobre i piękne w naszej cywilizacji i straszna siła niszczycielska, zło, niepojęta ohyda, unicestwienie. A między tymi dwoma siłami — zagubieni, bezradni ludzie, którzy żartując w tej samej chwili ocierają się o śmierć. Jest taka scena w „Tomaszu oszuście", kiedy w nocy spotyka się dwóch żołnierzy: idący na urlop i jego kolega. Śmiechy, słowa „zdążysz jeszcze do kobiety" i błysk latarki, żeby lepiej sobie się przyjrzeć. Wtedy — kula. Ten, który oświetlił trafionego w sekundę po błysku, w poczuciu winy staje nieruchomo w ciemności oświetlając twarz tym razem sobie. Czeka na śmierć, która nie przychodzi. Wstrząsająca jest maska jego twarzy i gorzka ironia sytuacji, w której jeden człowiek bierze na siebie odpowiedzialność, poczucie winy za to, w czym zawiniła ludzkość. Ale winy ludzkości, cywilizacji, są nieuchwytne, abstrakcyjne, a światło latarki było konkretne.

Przepiękny to film. Może w początkowych partiach trochę trudno oswoić się z nim, ale powoli, stopniowo wciąga, urzeka swą atmosferą. Wzrusza i porywa.

Wystarczy już sama czołówka, żeby zapewnić powodzenie najnowszej polskiej komedii „MARYSIA I NAPOLEON" reżyserii Leonarda Buczkowskiego. Sam kwiat aktorstwa polskiego: Beata Tyszkiewicz, Gustaw Holoubek, Ignacy Machowski, Kazimierz Rudzki, Anna Ciepielewska, Bogumił Kobiela, Wieńczysław Gliński i inni. Na szczęście nie jest to jedyny atut tego filmu. Film „Marysia i Napoleon" zrobiony został z rzadkim ostatnio w naszej kinematografii poczuciem rzeczywistości. Ze znajomością gustów i zapotrzebowania widowni, z dobrym opanowaniem rzemiosła i (o dziwo!) z poczuciem humoru. Nareszcie mamy naprawdę zabawną polską komedię, na której nie musimy się nudzić. Jest się z czego pośmiać i jest na co popatrzeć. „Marysia i Napoleon" jest bowiem filmem kostiumowym, barwnym, szerokoekranowym. Natrząsającym się nieco z historii i trochę z teraźniejszości. Pomysł z Francuzem i polską Marysią, którzy przypominają sobie w Walewicach dzieje cesarza i słynnej polskiej kochanki okazał się znakomity. Świetnie wyszedł w realizacji. „Marysia i Napoleon" jest wreszcie autentycznym filmem rozrywkowym — bogatym, wystawnym, zrobionym z fantazją i rozmachem. Posiada udane dialogi, dobrze grających aktorów i wartko płynącą akcję. Niczego więcej nie trzeba do szczęścia na filmach tego gatunku. Film Buczkowskiego uważam więc za sukces w dziedzinie polskiej rozrywki ekranowej. Amatorzy komedii znajdą w niej dobrą, interesującą zabawę.

MARIAREL

ROBERT GLUTH

Tragi-farsa

Motto: „Ma w każdym porcie narzeczoną,
Używa sobie fest,
Z nich każda chciała być mu żoną,
Lecz on nie frajer jest".

(Z bardzo starej piosenki o marynarzach)

Człowiek, który siedzi nieopodal, jest znacznie przystojniejszy, niż na zdjęciach publikowanych w pismach codziennych. „Minutowe" fotografie mają to do siebie, że odzierają twarz z każdego śladu subtelności rysów, czynią ją w pewnym sensie „nagą" i nieciekawą. Do tego dochodzą zniekształcenia wynikłe w procesie chemigraficznym, no i wady kiepskiego papieru gazetowego, na którym ukazują się reprodukcje. Krótko mówiąc, Roman Jałocha vel Roman Zawadzki reprezentuje typ mężczyzny o urodzie nieco większej niż przeciętna. Człowiek ten, przy krępej, silnej budowie ciała, zachowuje rodzaj zwinności i pewności ruchów — właściwy chyba sportowcom-amatorom. A twarz wyrazista, włosy ostrzyżone na jeża i inteligentne oczy mogłyby należeć do każdego intelektualisty trzeciego sortu.

Roman Jałocha nie jest ani intelektualistą, ani sportowcem. Stał się ostatnio popularny dzięki licznym notatkom gazetowym, opisującym niecodzienną aferę, pod mniej lub bardziej dowcipnymi tytułami.

Były już afery mięsne, wełniane, maślane — czort wie jakie. Jałocha, który chętnie używa w rozmowie obcych słów, kilkakrotnie wtrącił określenie „precedens", mówiąc o swojej sprawie z oficerem dochodzeniowym Komendy Wojewódzkiej MO w Łodzi. Przedmiotem „kantów" były bowiem tym razem istoty żywe, ba, myślące — kobiety. (Gwoli prawdy, należy dodać, że w historii nie jest taka afera precedensem — ani w literaturze, ani w sądownictwie).

Przypomnijmy zresztą rzecz całą:

W ubiegłym roku, wpłynęła do biura matrymonialnego „Syrenka" w Warszawie oferta od samotnego, kulturalnego pana, posiadającego liczne zainteresowania — i pragnącego poznać poważną, miłą panią w wieku od 24 do 35 lat, w celu zawarcia związku małżeńskiego. W efekcie pan Roman Zawadzki (bo tak brzmiało nazwisko oferanta) otrzymał około setki listów pisanych przez kobiety z różnych stron kraju. Wymagający „kawaler" selekcjonował odpowiedzi, wybierał nadawczynie według sobie znanego klucza, a następnie poznawał osobiście interesujące go „obiekty". Styl postępowania był dość stereotypowy: początkowo mniej lub bardziej intymna zażyłość, następnie wspólne snucie planów, wyznaczanie możliwie bliskich dat zawarcia związku małżeńskiego, przedstawianie finansowych kłopotów związanych z ostatecznym załatwianiem wspólnego mieszkania spółdzielczego — i dyskretne ulatnianie się w siną dal, wzorem kochasia z popularnej piosenki. Aby osłodzić w wątpliwy sposób rozstanie, pomysłowy pan Roman wysyłał list pożegnalny, w którym stwierdzał, że jest nieuleczalnie chory i zamierza skończyć ze sobą. (W grę wchodziła wersja choroby — która określimy tutaj jako „schorzenie zawodowe Casanowy"). To wszystko byłoby mniej dwuznaczne, gdyby chodziło jedynie o wprowadzanie w błąd partnerek i posługiwanie się fałszywym nazwiskiem (Jałocha, jak twierdzi, znalazł kiedyś w autobusie przepustkę fabryczną na nazwisko Zawadzki — i stąd przybrany pseudonim). Rzecz jednak wiąże się z odnośnym artykułem Kodeksu Karnego mówiącym o wyłudzeniach: na poczet „opłat mieszkaniowych" Jałocha pobierał bowiem od poznanych kobiet dość okrągłe kwoty, zamykające się łączną sumą 47 tys. zł — zgodnie z aktualnym rozeznaniem MO.

W całej sprawie są przynajmniej dwie rzeczy pochodzące żywcem z literatury kryminalno - sensacyjnej: „skrzynka kontaktowa" i przypadek. Jedna z nich ułatwiała cały proceder podejrzanemu, zaś druga „wysypała" go.

Roman Jałocha jest pracownikiem „Petrochemii" płockiej — człowiekiem po raz drugi żonatym, posiadającym jedno dziecko z pierwszego małżeństwa i dwoje z drugiego. Trudno więc przypuścić, żeby chciał olbrzymią korespondencję matrymonialną przyjmować na swój adres domowy. Poznał na Dworcu Głównym w Warszawie starszą kobietę obsługującą dworcowy szalet i początkowo umówił się z nią, że będzie oddawał koszule do prania. Później zaproponował: „Niech pani odbiera na swój adres listy przychodzące do mnie, ponieważ jestem mieszkańcem jednego z hoteli robotniczych i nie chciałbym, aby koledzy zaglądali mi do korespondencji. Za każdy doręczony list otrzyma pani ode mnie 5 złotych". Jałocha odbierał listy hurtowo, będąc w Warszawie — i płacił regularnie.

Wpadł przez przypadek. Wylegitymowany na dworcu w Olsztynie — w towarzystwie jednej z „wielbicielek" ujawnił z konieczności prawdziwe nazwisko i sprzeczność z przybranym pseudonimem zgubiła go.

Korzystając z uprzejmości oficera dochodzeniowego KW MO w Łodzi — por. Siudy, człowieka mądrego, znającego życie z różnych stron — uczestniczyłem anonimowo w przesłuchiwaniach i konfrontacjach. Przez cały czas gnębiło mnie kilka pytań, wychodzących nieco poza zakres sprawy Jałochy vel Zawadzkiego.

MIAŁEM TRUDNE MAŁŻEŃSTWO, PROSZĘ SĄDU

Zeznanie Romana Jałochy — pierwsze zeznanie po aresztowaniu — wygląda trochę jak życiorys a rebour: mówi się tam o miejscu i dacie urodzenia (1928 — Pabianice), o wstąpieniu w pierwszy i drugi związek małżeński... ale później wszystko co stwierdza Jałocha nabrzmiałe jest gniewem i pretensjami do całego świata, a do kobiet w szczególności.

Wiele w zeznaniach Jałochy mówi się o bezradności. — Czyżby jakiś znak czasu? „Skobiecenie" rodzaju męskiego? Czy tylko sprytne zeznania cwaniaka?

Porucznik Siuda zapytywał, dlaczego Jałocha pobierał znaczne sumy pieniędzy od poznanych kobiet. Na to otrzymywał odpowiedź: „Nie miałem wyjścia — nie miałem z czego żyć, ani się jak spotykać, bo to zawsze, panie poruczniku, jakieś dwieście złotych na spotkanie trzeba wyłożyć...".

W swoim przedziwnym „życiorysie" Jałocha wyjaśnia, że druga żona traktuje go od dawna jak siłę roboczą i wyciąga wszystkie zarobione pieniądze, zamieniając życie w piekło. Podejrzany deklaruje równocześnie swoją ogromną miłość do dzieci, którym chciałby zaoszczędzić hańby na całe życie... a później dyktuje Wysokiemu Sądowi wyrok. Wnosi mianowicie o więzienie dożywotnie dla siebie, ponieważ sądzi, że w miejscu odosobnionym będzie mu znacznie lepiej niż w domu.

Zeznanie Jałochy nie pozbawione jest akcentów obliczonych na wzruszenie przeprowadzających dochodzenie i kompletu sędziowskiego. Do owych chwytów należy — oprócz osobliwej prośby pod adresem sądu — zdanie, które miała zostawić w liście przed śmiercią matka podejrzanego: „Nie płacz synu nad moją trumną — lecz nad swoim życiem dotychczasowym".

Mimochodem niejako Jałocha wspomina, że w Płocku nabawił się lekkiej choroby wenerycznej, a następnie przechodzi do technicznych zagadnień, związanych z poszukiwaniem „prawdziwej towarzyszki życia".

Według p. Romana, z około 100 ofert zostały wybrane 4 osoby, odnotowane w zeznaniu pod pełnym nazwiskiem i imieniem, z wyjątkiem jednej, o której Jałocha mówi: „Maria — nazwiska nie pamiętam".

Wyraźnie widać w całym zeznaniu masę sprzeczności, a reporter co chwila musi się zastanawiać, czy chodzi o naiwność podejrzanego, czy też o wyjątkowe cwaniactwo.

Ktoś mądry, komentując sprawę Jałochy, zauważył dwie rzeczy: Czy szczególna instytucja publiczna, jaką jest przecież biuro matrymonialne, nie powinna posiadać czegoś w rodzaju dyskretnego wywiadu, aby nie stanowić pola do działalności oszustów i naciągaczy — oraz czy nie istnieje żadne lekarstwo na naiwność kobiecą?

Jałocha w zakończeniu swojego zeznania wypowiedział dwa zaskakujące zdania: „Zostałem aresztowany — i w ten sposób stałem się przestępcą wbrew woli", oraz „przyczyną moich przestępstw jest żona i pozostałe wszystkie oferantki — z wyjątkiem pani P.". Wina oferantek, według Jałochy, polega na tym, że rzekomo wciskały siłą do kieszeni pieniądze podejrzanemu — aby go od siebie uzależnić.

Niewątpliwie obrońca Jałochy w trakcie przewodu sądowego stworzy nowy termin: „trudne małżeństwo". Będzie nim operował ze swadą, podobnie jak w przemówieniach obrończych w procesach o chuligaństwo, gdzie mówi się o trudnym dzieciństwie. Jałocha ukaże się w tej mowie jako niewinna ofiara piekła domowego, zabiegająca o spotkanie prawdziwej towarzyszki życia.

TRAGEDIA I FARSA

Zeznania poszczególnych kobiet momentami są istotnie tragiczne. Do takich należy oświadczenie pani X. z województwa koszalińskiego, kobiety urodzonej w 1932 roku, która wprowadzona w błąd przez Jałochę (również wobec niej występującego pod nazwiskiem Zawadzki) sprzedała wszystkie meble z mieszkania i rzuciła pracę — oczekując na rychły związek małżeński z ukochanym. Kobieta ta jest samotna, pochodzi ze środowiska autochtonów. Jałocha zainkasował od niej ponad 7 tys. zł — uciekł i zmylił pogonie.

Inne konfrontacje nie wyglądają tak dramatycznie. Pani Y. młoda kobieta — przedstawiająca się ponoć Romanowi Jałosze jako panna, a w istocie rzeczy rozwódka — przypomina momentami pojęcie „równego partnera": patrząc na nich oboje, gdy mówią do siebie per ty w czasie konfrontacji i kłócą się tak zajadle na ile pozwala obecność oficera MO — człowiek mimowolnie myśli o tym, że trafiła kosa na kamień.

Pani Y. przywitała wchodzącego na konfrontację Romana Jałochę pełnym mściwości okrzykiem: „No, gdzie się teraz znajdujesz, panie bez sznurowadeł!?".

Warto w skrócie przytoczyć zeznanie pani Y. — wraz z zanotowanymi dygresjami — aby zbyt pochopnie nie określać wszystkich ofiar Jałochy mianem uogólniającym „naiwne":

— Mój brat dał pieniądze Romanowi, żebyśmy mieli własne małżeńskie mieszkanie. On o tym mieszkaniu mówił dużo, ale ulicy nie podał, a ja Łodzi nie znam. On się prawdziwie nazywa Jałocha — no rzeczywiście prawdziwa jałocha, nazwisko zgodne z prawdą. Dużo listów pisaliśmy do siebie, ale na ostatni to już nie było odpowiedzi. A kiedy będzie rozprawa, panie poruczniku?... Jeśli chodzi o konfrontację to proszę bardzo. Nie tylko ja mówię, że naciągnął, ale i sąsiedzi. W biurze są ludzie inteligentni to go nawet nie potępiają, tylko się śmieją.

Jeszcze są rzeczy, o których nie mówię, bo bym się wstydziła.

— Toteż nie pytam o nie — przerywa cierpliwie porucznik Siuda i zarządza konfrontację.

Tutaj następuje poważna rozbieżność zdań: Jałocha mówi: „We wszystkich poprzednich konfrontacjach przyznawałem się do każdej sumy, ale tym razem się nie przyznam, bo na spotkaniu z bratem tej pani i z nią było dużo wódki i pijanego wsadzono mnie do autobusu, a gdy otrzeźwiałem to miałem przy sobie tylko 120 zł, a nie żadne 12 tysięcy".

Tylko powaga funkcjonariusza hamuje burzę w pokoju. Pani Y. jest bardzo podekscytowana, pewna siebie, i gotowa do kłótni z Jałochą ząb za ząb. Po konfrontacji słyszymy jeszcze od niej, że bardzo chętnie pracowałaby w milicji, że prowadzący śledztwo jest bardzo przystojnym mężczyzną (i podobnie zresztą Wasz pokorny sługa — reporter).

Nie posądzałbym tego świadka o naiwność czy brak znajomości życia. Mimo, że z ust kobiety często padało określenie „naiwna" pod własnym adresem. Zresztą wszystkie uogólniające określenia posiadają jedną wadę: Nie dadzą się dokładnie sprecyzować i trudno snuć poważniejsze przypuszczenia w oparciu o nie. Ludzie są bardzo różni — to prawda; podobnie jak prawdą jest, że Jałocha trafiał na różne kobiety: naiwne i doświadczone, panny i rozwódki, cierpiące na kompleks samotności i pewne siebie. Prawdą jest, że wszedł w kolizję z kodeksem karnym, dopuszczając się wyłudzeń znacznych sum pieniędzy oraz fałszerstwa (używając nazwiska Zawadzki i wprowadzając tym w błąd instytucje i osoby prywatne).

Dla zmęczonych tym żmudnym dochodzeniem funkcjonariuszy MO sprawa ciągnie się dalej. Prowadzona jest wnikliwie i drobiazgowo, z całym spokojem i kulturą — zanim w postaci materiału dla sądu trafi do właściwego zespołu ferującego wyrok w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej.

Pozostaje ogromny teren do badań socjologicznych — problem zawarty w pytaniu, co pcha do małżeństwa za wszelką cenę, wiele kobiet, które przecież zdobyły równouprawnienie w tym kraju, są niezależne i samodzielne zawodowo... Co tutaj decyduje: czy tradycyjna potrzeba „męskiego ramienia", czy świadomość legalizacji i trwałości związków fizycznych, czy perspektywy wspólnego ułożenia lepszej egzystencji?

Bo o uczuciach w sprawie Jałochy nikt nie mówi. Każdy — podejrzany i świadkowie — bez żenady wyciągają na światło dzienne wszystkie, najintymniejsze sprawy, komentując je jednoznacznie: „jaka byłam głupia", „jaki byłem głupi".

No cóż, czasy się zmieniły. Dzisiaj Guy de Maupassant nie napisałby już „Kochaneczka".

Z cyklu: portrety

Rys. W. Kondek

Lewym okiem

USTERKI W INFORMACJI

Nie chcielibyśmy wstępować w ślady zaciekłych, a zawsze bardzo w sobie zadufanych tropicieli błędów i omyłek, popełnianych przez prasę. Jeśli ktoś długim listem do redakcji żąda sprostowania informacji o królu Gottfrydzie z dziewiętnastego wieku, mianowicie, że nie mógł mrużyć oczu jadąc z Brion do Trion, bo słońce miał wtedy z tyłu — to taki prostowacz jest odrobiną maniakiem. Bardziej usprawiedliwione wydają nam się poprawki do różnych, czasem bardzo maleńkich, przyczynków, zwłaszcza historycznych, chociaż i w nich więcej jest chęci popisania się własną erudycją, niż troski o ścisłość informacji.

Omyłek do sprostowania jest mnóstwo, wierzymy jednak, że popełniane są mimo najlepszej woli piszących. Nikt nie wie przecież wszystkiego o żadnej sprawie. Dziennikarz — publicysta powinien dołożyć maksimum staranności, aby wiedzieć jak najwięcej i informować dokładnie, ale maksimum różnie w różnych sytuacjach wygląda. Reporter, donoszący swej gazecie o wypadku, lub o rozprawie sądowej, ogranicza się niekiedy do ustnej informacji osób trzecich — i przyjmuje na wiarę to, co mówią. Z dwóch reporterów, każdy spotyka innych informatorów i usłyszy inną relację. Dlatego później „Głos" z 16 września napisze, że ob. Antoni S. został pobity i ograbiony „nie na ulicy, nie w bramie, ale... w kawiarni", co dziennikarzowi daje asumpt do komentarzy natury ogólnej, a „Dziennik Łódzki" z tegoż dnia 16 września ogłosi, że ob. Antoni S. został pobity nie w kawiarni, tylko właśnie w głębi ciemnego, pustego podwórza, co nie nasunęło dziennikarzowi uwag ogólniejszych. Nieważne.

Bywają jednak błędy, które nasuwają przypuszczenie, że autor nie przeczytał tego, co sam napisał, tylko prędko postawił kropkę i oddał do drukarni. Redaktorzy nie zdążyli rzucić okiem, albo rzucali tylko prawym, a do wyłapywania błędów przeznaczone jest przecież lewe. Z wielką tremą mam ochotę przytoczyć tu przykład z rodzimych „Odgłosów". Jeśli Hermann Broch, jak podano w numerze z 4 września, urodził się w roku 1860, to nie miał w roku 1927 lat czterdziestu jeden, jak czytamy o parę zdań dalej. Jeśli w roku 1927 miał 41 lat, to nie bardzo mógł przed rokiem 1908 zostać inżynierem i dokonywać wynalazków, jak czytamy pośrodku. Jeśli był wystarczająco dorosły przed 1908 rokiem, aby być wynalazcą, to do nagrody Nobla w roku 1950 wysunięto go jako zgrzybiałego staruszka. Taki to był dziwny casus Broch...

Być może zresztą, że sekret Brocha tkwił w jednym małym błędzie drukarskim, a taki błąd to siła wyższa i ostatecznie do nikogo pretensji mieć nie możemy. Zdarza się wszakże i tak, że przecieramy oczy i niemal pewni jesteśmy, że autor opisuje, a nawet ocenia rzecz, której wcale nie widział. Wtedy zaczyna się odczuwać maleńką irytację, na przykład przy czytaniu recenzji: Na przykład w „Przekroju" z 11. IX. Na przykład z filmu „Nie przysyłaj mi kwiatów". Zgadza się tytuł, zgadza się, że Rock Hudson i Thony Randall, że Doris Day „roztacza wokół siebie atmosferę pogody i radości życia", że „wesołe w miarę nawet pouczające, miłe". A nagle — gdy Aleksandra przystępuje do zrelacjonowania treści okazuje się, że to wcale nie ten film! Nie wiemy już o czym mowa, wiemy tylko, że albo Aleksandra filmu nie widziała, a pisze z niego recenzję, albo wiatr pomieszał fiszki na biurku recenzenta.

A skoro wiatr winien, to dajmy spokój zaciekłemu tropieniu błędów i omyłek. Nie mamy to większych zmartwień?

ĆWIEK

OD REDAKCJI: Nasuwa się przypuszczenie, że Ćwiek nie czytał tego, co sam napisał, tylko prędko postawił kropkę i oddał do druku. Redaktorzy natomiast rzucili okiem (lewym) i stwierdzili, że notatka o Brochu była zamieszczona w innym, niż to Ćwiek podaje, numerze...

Redaguje zespół: — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem: na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17. Zam. 2865 IX.66. E-2